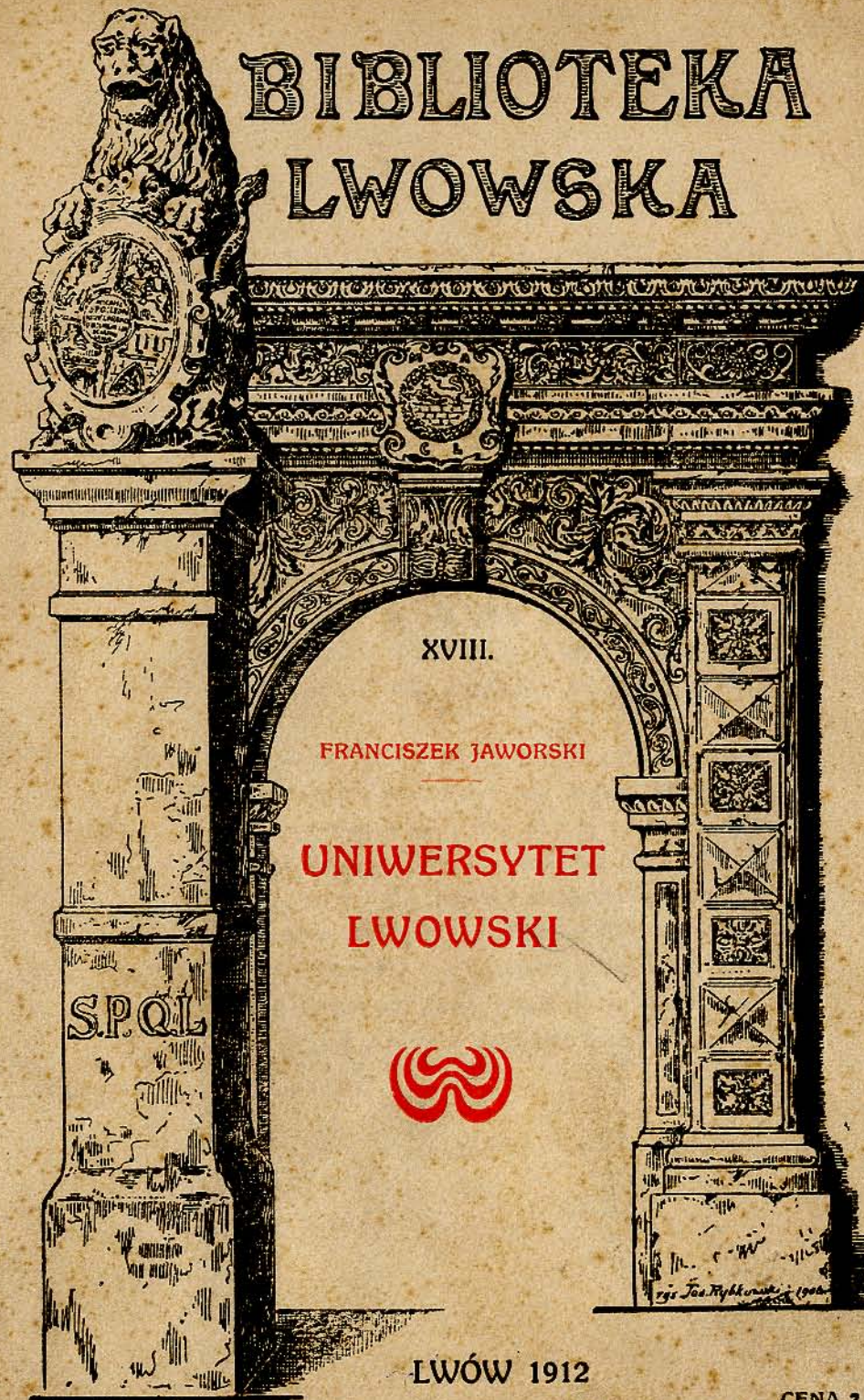


473

BIBLIOTEKA LWOWSKA



LWÓW 1912

CENA 3 K

Towarzystwo miłośników przeszłości Lwowa

mające na celu poznawanie dziejowej przeszłości Lwowa, budzenie poszanowania dla jego pamiątek i zabytków, oraz ratowanie od zatury i gromadzenie ich w zbiorach miejskich — będzie do tego celu zmierzało, między innymi, przez wydawnictwo naukowych i popularnych publikacji z dziejów naszego grodu.

W myśl § 6. statutu każdy członek Towarzystwa otrzymuje **bezpłatnie** powyższe wydawnictwa.

Wkładka roczna 8 K. Każdy wpisujący się do Towarzystwa płaci więc niejako tylko prenumeratę wydawnictw. Im więcej członków przystąpi, tem bogatsze mogą być wydawnictwa.

Kto na cele Towarzystwa złoży jednorazowo datek przynajmniej 100 koron, jest członkiem założycielem.

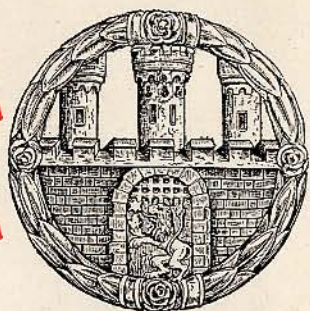
Upraszamy przeto wszystkich, miłujących przeszłość stolicy kraju i jej zabytki — o przystępowanie do Towarzystwa miłośników przeszłości Lwowa.

Oprócz „Biblioteki lwowskiej“ w formie niniejszego tomiku wydawać będziemy ilustrowany „Rocznik“, w którym znajdą pomieszczenie prace historyczne, dotyczące przeszłości Lwowa.

(Adres: Archiwum miejskie, Lwów, Ratusz).

UNIwersytet Lwowski

BIBLIOTEKA LWOWSKA



WYDAWNICTWO TOWARZYSTWA ♦ ♦ ♦ ♦
MIŁOŚNIKÓW PRZESZŁOŚCI LWOWA ♦ ♦

XVIII.
UNIwersytet LWOWSKI

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ♦ ♦ ♦ ♦ ♦
GUBRYNOWICZA I SYNA WE LWOWIE ♦ ♦ ♦

FRANCISZEK JAWORSKI

UNIwersytet LWOWSKI

WSPOMNIENIE JUBILEUSZOWE

Z 28 RYCINAMI W TEKSCIE



WE LWOWIE 1912 ♦ ♦ NAKŁADEM TOWARZYSTWA
MIŁOŚNIKÓW PRZESZŁOŚCI LWOWA ♦ ♦ ♦ ♦ ♦ ♦ ♦



CZCIONKAMI DRUKARNI
JAKUBOWSKIEGO I SP.
:: :: WE LWOWIE :: ::



66539 ✓

UNIWERSYTETOWI LWOWSKIEMU

W DWUSETNĄ PIĘCDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ

ZAŁOŻENIA

TOWARZYSTWO

MIŁOŚNIKÓW PRZESZŁOŚCI LWOWA

Niniejszej pracy przyświecała myśl i potrzeba spopularyzowania w roku jubileuszowym dziejów Wszechnicy lwowskiej, której losy i polski charakter tak bardzo leżą na sercu społeczeństwu polskiemu. Chętny Czytelnik nie znajdzie tu samodzielnych badań, ani oryginalnych poglądów, gdyż praca oparła się wyłącznie prawie na materiale drukowanym, a w szczególności na dziele ks. Stanisława Załęskiego „Jezuici w Polsce“ i Prof. dra Ludwika Finkla „Historia Uniwersytetu lwowskiego do r. 1869“. Literatura polemiczna z XVII. i XVIII. wieku oraz niektóre nowsze opracowania dostarczyły szczegółów, zużytkowanych odpowiednio do rozmiarów i celu wspomnienia jubileuszowego.

Autor.



ogniu walki poczęta, w walce półtrzecia trwa wieku *Alma Mater* lwowska. W dostojnej świątyni nauki raz po raz rozbrzmiewał gwar sporów i z całej niemal ziemi polskiej znosił tu wicher życia namiętne szaty zawiści, niechęci i procesów. Całe morze wzburzonej opinii biło w te mury, pokrywały je fale sprzecznych sądów i zabiegów, biły gromy we wszystkie cztery węgły Akademii lwowskiej. I nie było, zda się, ciszy dla naukowych badań, jakby zabrakło uroczystej powagi temu domowi, który miał być światłem nauki, pochodnią wiedzy.

A jednak przetrwała wszystkie burze *Alma Mater* lwowska i pełni chlubnie zadania, jakie jej dzieje od samego początku istnienia, przez półtrzecia wieku, wyznaczały. Jest potężną twierdzą ducha polskiego, czujną strażnicą u wschodnich rubieży Polski, jest jasnym ogniskiem wiedzy, prawdy i kultury, dostojną siedzibą nauki. Uniwersytet lwowski stał się prawdziwą *Alma Mater* wielu pokoleń młodzieży, a na swych barkach dzielnie i chlubnie dźwiga nie tylko zadania, jakie każdy uniwersytet spełniać winien, ale pracować musi — jak powiedziano pięknie — i za te uniwersytety, które być na ziemi polskiej powinny a których niema.

Lat dwieście pięćdziesiąt — półtrzecia wieku trwa lwowska Wszechnica. Miała swoje chwile jasne i ciemne, spotykała na swojej drodze uznanie i gwałtowne protesty, za czasów Rzeczypospolitej na ogół tylko częściowo mogła spełniać swoje posłannictwo, ale charakteru uniwersytetu nigdy się nie wyzbyła, nauce i wiedzy służyła w miarę sił i możliwości, zawsze stojąc na tym poziomie i wysokości

na jakich w danym okresie stała wiedza, nauka i literatura polska. Jej tytuły, splendory, akademickie przywileje, ten przepych zewnętrzny i okazałość, bez których tak trudno obywał się wiek siedemnasty i ośmnasty, były prawie ciągle przedmiotem sporu, ale jej naukowego poziomu, ani badań nikt i nigdy nie kwestyonował. I ten właśnie uniwersytecki poziom to jej wobec potomności chluba i rzetelna zarazem zasługa, to tytuł do wdzięczności Polski dzisiejszej.

Duch czasu, bieżące potrzeby Zakonu, który ją dźwignął i bronił wytrwale, niewoliły ją do takiej służby publicznej, jaka w danej chwili wydawała się najlepszą. Akademia lwowska przetrwała wszystkie zapatrywania na cele uniwersytetów, ażeby na koniec już w dniach najnowszych zabłysnąć jako olbrzymie światło w jedynej już służbie polskiej nauki.

Tak samo w różnej kolei losów zachować umiała Akademia lwowska swój narodowy charakter i polską też została przez cały ciąg swojego istnienia, przerywanego burzą procesów i burzą dziejową. Polską była lwowska Wszechnica za Jezuitów, polską została w czasach, kiedy z jej katedr nie rozbrzmiewała mowa polska, w dobie największego ucisku narodowego. Bo pod powłoką germanizacyjną kipiało w niej życie polskie — w kołach młodzieży, w jej związkach w tajnych stowarzyszeniach, krzewiła się myśl tak daleka od oficjalnego wykładu, że w chwili dziejowego kataklizmu sam rząd austriacki skierował swoje armaty na Wszechnicę lwowską, ją uważając za główne siedlisko polskiej myśli rewolucyjnej.

A kiedy wreszcie pozwolono społeczeństwu żyć własnym życiem i rozwijać się swobodnie, *Alma Mater* lwowska była pierwszą, która stanęła do wytrwałej pracy naukowej. Długi szereg mężów nauki zajaśniał na jej katedrach, a ich dzieła roznosiły sławę polskiego imienia po wszystkich krajach dawnej Rzeczypospolitej.

I dalej jeszcze wśród obcych znalazła Wszechnica lwowska niejednokrotnie uznanie za swoje prace, podjęte dla badania prawdy.

Więc w uroczystej chwili jubileuszu cały naród polski patrzy z dumą i chlubą na jaśniejące światło kultury,

za zasługi Wszechnicy lwowskiej, na jej przeważne znaczenie w życiu narodowym. A rozpamiętując jej dzieje i przeszkody, które przebyć musiała, strzegąc pilnie jej charakteru i powagi, jej dostojęstwa — spieszy z jubileuszowym hołdem i życzeniem, aby *Alma Mater* lwowska na całą przyszłość została świątynią polskiej nauki, potężną i niezłomną twierdzą polskiej kultury.

I.

KRÓL FUNDATOR.

GROŹBA AKADEMII PRAWOSŁAWNEJ. PRZYSZŁOŚĆ LWOWSKIEGO KOLLEGIIUM
T. J. WILNO. POZNAŃ. PERŁA KRÓLESTWA. OPÓR AKADEMII KRAKOW-
SKIEJ. AKADEMIA LWOWSKA. PRZYWILEJ JANA KAZIMIERZA. JEGO ZNA-
CZENIE. FUNDAMENT UNIwersYTETU LWOWSKIEGO. WYRAZ KONIECZNOŚCI
DZIEJOWEJ.

Już od roku 1658 dochodziło pragnienie zakonu Jezuitów posiadania własnej Akademii we Lwowie do najwyższego punktu napięcia. Właśnie bowiem zawartą została ugoda hadziacka, która zdawała się kończyć długi i straszny okres wojen kozackich i niosła ukojenie na całą, w krwi bratniej skąpaną połączyć Rzeczypospolitą. Atoli jeden z artykułów tejże ugody zapewniał Rusi akademię w Kijowie i drugą, „gdzie jej miejsce sposobne opatrzą“ wyznawcy wschodniego obrządku. A miejscem tem, jak niósł powszechnie głos opinii, mógł być tylko Lwów, gdzie od dawna istniała przy Stauropigii szkoła grecko-prawosławna, skąd na cały Wschód rozchodziły się księgi cerkiewne, gdzie była siedziba biskupa, potężnego bractwa i najwybitniejszych jednostek mieszczaństwa ruskiego.

To też sama myśl o prawosławnej akademii we Lwowie rozpaliała żarliwość Jezuitów do walki z schizmą i parła do użycia jak najenergiczniejszych środków, celem usunięcia mniemanego niebezpieczeństwa dla kościoła rzymskiego i samego Zakonu. Bo najwyraźniej przecież powiedziano w tejże samej ugodzie hadziackiej, że gdziekolwiek stanie owa druga prawosławna akademia, tam już po wieczne czasy żadne inne szkoły wyższe powstać nie mogą. A Kollegium jezuickie we Lwowie znajdowało się właśnie w stanie wielkiego rozkwitu, było już wtedy faktycznie i na podstawie programu swoich nauk akademią o dwu wydziałach, teologicznym i filozoficznym.

Zresztą w wielkich zamysłach walki z różnowierstwem, która była głównym celem Zakonu, w tym szerokim programie domów, kollegiów, szkół i misji jezuickich była lwowskiemu Kollegium już z dawna pisana przyszłość akademii.

Równocześnie prawie z wejściem Jezuitów do Lwowa obiecywał w r. 1590 Jan Siemion, ostatni z książąt Olelkowiczów słuckich, uposażyć we Lwowie akademię, od r. 1599 na życzenie arcybiskupa Solikowskiego wykładali Jezuiti w lwowskiej swojej rezydencji teologię dla kleryków dycezyalnych, w czasie inauguracji lwowskiego kollegium wykazywał superyor O. Stanisław Radzimski potrzebę szkół wyższych we Lwowie.

Akademia lwowska wspólnie z wileńską miała stanąć frontem przeciw schizmatyckiemu Wschodowi, podobnie jak celem upragnionej Akademii w Poznaniu miała być walka z protestantyzmem.

Z założeniem Akademii wileńskiej poszło Jezuitom stosunkowo dość gładko. Wystarczyła wola Stefana Batorego i papieża, wobec których wszelkie niechęci dyssydentów musiały umilknąć. Kanclerzowi Mikołajowi Radziwiłłowi Rudemu, który wzbraniał się przyłożyć do przywileju erekcyjnego pieczęci litewskiej z tego powodu, jakoby założenie akademii w Wilnie naruszało prawa i swobody Litwy, odpowiedział Stefan Batory stanowczo, że „dziwi go taka wolność, która ani uczyć się, ani nauczoną być nie chce i trudno mu pojąć przywilejów, któreby zostawiały Litwę w barbarzyństwie“. Tedy rychło stanęła Akademia wileńska, zrazu niekompletna, bez prawa i medycyny, jako „rynek na północy, na któryby jak na jarmark młodzież ze schizmatyckich i heretyckich prowincji po nabywanie nauk i wiary katolickiej przybywać mogła“.

Natomiast założenie drugiej jezuickiej akademii w Poznaniu natrafiło na nieprzewidywane trudności ze strony Akademii krakowskiej, a o Akademii lwowskiej wobec tego na razie nawet myśleć nie śmieli Jezuiti. Bo *Alma Mater* jagiellońska, choć sama już zubożała, w upadku będąca, strzegła zazdrośnie swoich przywilejów i wyłączności. Nie przeszkadzała wprowadzić założeniu akademii ani we Wilnie ani w Zamościu, ale z tem większą siłą opierała się dalszym

zamysłem jezuickim, znajdując szczery poklask i poparcie u całego społeczeństwa szlacheckiego.

Rzecz istotnie zadziwiająca, jak ta zubożała, cieniem dawnej chwały żyjąca Akademia krakowska potrafiła stać czoło zakonowi Jezuitów i jak z tej walki zawsze prawie zwycięsko wychodziła. Znaczna część jej profesorów, nędznie zaopatrzona i dotowana, pochodziła ze stanu plebejuszowskiego, jej uczniowie swawolą swoją, burdami, wywoływaniem rozruchów to z żydami, to z Jezuitami sporo nieraz przyczyniali kłopotu całej Rzeczypospolitej, jej naukowa wydajność była bardzo mała, znaczenie na zewnątrz jeszcze mniejsze. Ale gdy jej delegaci stanęli na sejmiku, na sejmie, czy nawet przed kuryą rzymską, znajdowali wszędzie posłuch baczny, wobec którego łamała się wola królewska, szły w niwecz wszelkie pergaminy, rozбивała się cała przemyślność i dyplomatyczny spryt najwybitniejszych Jezuitów. Tem bardziej to dziwne, że w gruncie rzeczy nie chodziło Akademii o plan, program i poziom nauk udzielanych w szkołach jezuickich, że szkoły te i kolegia mogły uczyć i badać, co im się tylko żywnie podobało, stanąć na poziomie nawet wyższym niż Akademia, ale chodziło jedynie i wyłącznie o tytuł, o przywilej pierwszeństwa, prawo nadawania promocji doktorskich, i co może było rzeczą najgłówniejszą, o prawo pobierania opłat za nie. Jeden z najzarliwszych obrońców praw, przywilejów i wyłączności Akademii krakowskiej, ks. Marcin Radyński, pisze bez żadnych obłonek: „mistrze Akademii krakowskiej mając nędzne pensye, bo niektórzy po 10 grzywien rocznie, opatrują swe potrzeby dochodami z różnych promocji czerpanymi. Gdyby więc te promocye Jezuitom dozwolone zostały, to oni dla zjednania sobie ludzi będą je bezpłatnie nadawali; mistrze zaś Akademii zejść do ostatniej nędzy i w dalszym czasie ta perła całego Królestwa spodłaje, a oto jedynie starają się Jezuitci, a nie o dobro Rzeczypospolitej“.

Czy Jezuitom istotnie chodziło o zniszczenie Akademii krakowskiej, nie wiadomo, ale to pewna, że cały stan szlachecki i Rzeczpospolita podzielała zdanie, że Akademia krakowska jest perłą Królestwa. I jakkolwiek nie było widać żadnego starania, ażeby tej „perle“ dodać odpowie-

dniego blasku, to jednak czyniono wszystko, aby nie narażać jej na trudy współzawodnictwa, usunąć z jej drogi wszelkie przeszkody, może nie rozwoju, ale samego istnienia.

Na tłumy szlacheckie działał w tym wypadku jedynie urok — wspomnienie Jagiellonów. Wiadomo, z jaką skwapliwością umiano już w XVII. wieku uczcić każdą kropelkę krwi jagiellońskiej płynącej w żyłach następców, jak zawsze powoływano się na ideę jagiellońską, jak w całej literaturze polskiej wspomnienie czasów jagiellońskich tkwiło jako świetna, pełna uroku i bezpowrotnie miniona chwila złotego wieku, blasku polskiego imienia i jego potęgi. A Akademia krakowska była trwałą i minioną spuścizną po Jagiellonach, ba, nawet i Piastach, z jej powstaniem łączyła się pamięć imion nieledwie czcigodnych religijną otoczonych, pamięć Kazimierza Wielkiego i królowej Jadwigi. Tedy w chwilach, gdy z murów *Almae Matris* jagiellońskiej wybiegało wołanie na trwogę i niebezpieczeństwo, nie było szlacheckiego serca, któreby głuchem zostało na to wołanie.

Sprawa Akademii poznańskiej została ostatecznie w zawieszeniu, nie rozstrzygnięta ani na korzyść Jezuitów, ani Akademii krakowskiej. Wobec słabości władzy rządowej i wykonawczej w Polsce, zdarzało się prawie zawsze, że wielkie procesy nigdy się nie mogły doczekać zakończenia, że jeden spór pociągał za sobą dziesiątki sporów pomniejszych, tem bardziej, że strony interesowane czyniły zabiegi wszędzie i broniły swoich praw i pretensyi tak „prawem jak lewem“, drogą dekretów, wyroków i konstytucyi, oraz stwarzaniem faktycznych stosunków, z którymi rzeczywistość musiała się liczyć.

Tak samo i Akademia krakowska nie mając dość siły do ukrócenia zamysłów jezuickich, starała się wszystkimi sposobami zabezpieczyć swój stan posiadania, uzyskując od sejmów zatwierdzenia praw swoich i wyłączności, wykluczającej powstanie równorzędnych zakładów naukowych. Najważniejszym zaś takim środkiem ochronnym była konstytucya uchwalona na sejmie koronacyjnym Władysława IV. w r. 1633, według której prawo patronatu odnośnie do istniejących i nowych akademii przyznane zostało nie tylko królowi, jak dotąd, ale i całej Rzeczypospolitej reprezentowanej w sejmie.

Tak stanęły przeciwko sobie dwa wrogie obozy, bacznie a podejrzliwie śledząc zamiary swoje i pragnienia. Zakon, zrozumiałwszy, że iść nie podobna przeciwko prądowi opinii, przycichł i zdawał się powoli zapominać o porażce poznańskiej i przykrzejszej jeszcze w Krakowie, gdzie w r. 1634 zamknięto szkoły jezuickie. Akademia zaś bezpieczna i pewna od groźnego współzawodnika, zapadła znowu w sen, do którego ją kołysały beznadziejne pienia panegirystów.

W takim stanie rzeczy zamajaczyło od wschodu widmo aż dwu schizmatyckich akademii. Akademikom krakowskim nie było ono jakoś zbyt groźne, bo przyjęli je milczeniem i bez protestu, natomiast u Jezuitów — jak powiedziano wyżej — wezbrały wszystkie apostolskie pragnienia, cała gorąca i nieustępliwa chęć walki z różnowerstwem, zagrała wreszcie obawa o losy lwowskiego Kolegium. I zdało się im, że przyszła chwila jedyna i najsposzniejsza do zrealizowania dawno żywionego pragnienia, że przeciw katolickiej akademii we Lwowie nie podniesie się żaden głos protestu, w tych czasach religijnej żarliwości, wobec tylu spalonych kościołów, zniszczonych klasztorów, pomordowanych księży, wobec tak strasznej klęski katolicyzmu na Rusi, jaką mu zadały wojny kozackie. Zaraz tedy we wrześniu r. 1658 na generalnym zjeździe prowincji jezuickiej w Krakowie uchwalono odnieść się do generała Zakonu w Rzymie, aby „w naszym kolegium lwowskiem ustanowiono uniwersytet nauk“, aby „uprzedzić można i odwrócić zamysły schizmatyków greckiego obrządku, którzy dla sławności miasta, będącego siedzibą także ich biskupa, otworzyć tam uniwersytet zamierzają“.

Równocześnie gdy deputaci Jezuitów wybierali się z tą prośbą na generalną kongregację do Rzymu, rozwinął Zakon w kraju dla tej myśli wszystkie środki, jakimi tylko rozporządzał. Rektor kolegium lwowskiego, O. Krzykoski i Jezuici lwowscy zda się Acherontaby ruszyli w sprawie akademii, a w sferach bliskich królowi Janowi Kazimierzowi pracował wytrwale ks. Jędrzej Sikorski, dawny teolog podkanclerzego Prażmowskiego, wielokrotny kapelan i kaznodzieja obozowy w czasie wojen kozackich. W samym Kolegium otwarto na nowo kurs teologii i pomno-

żono liczbę profesorów, spowiednicy i kapelani szli między najwybitniejszych mieszczan lwowskich, na dwory dostojników ziemskich i szlachty ziem ruskich, okazując wielkie korzyści z otwarcia akademii we Lwowie, gdzie tylko dotrzeć mogły wpływy jezuickie, tam je używano — w największej tajemnicy jednak, ażeby uspić czujność Akademii krakowskiej i wystąpić wobec niej z faktem już dokonanym.

Na razie szczęście zdawało się sprzyjać zamysłom jezuickim. Za wpływem najpotężniejszego naówczas patrycyusza Marcina Nikanora Anczewskiego, który sam, wraz z żoną, ofiarował 30.000 złp. na przyszłą Akademię — oświadczyła się za nią urzędująca podówczas część lwowskiej rady miejskiej. Niebawem też wyszedł z ratusza lwowskiego list z prośbą do króla na ręce kanclerza Prażmowskiego, „aby na ozdobę majestatu Rzeczypospolitej nowa akademie we Lwowie stanęła“.

Szlachta ziemi lwowskiej, jak jeden mąż, stała przy Jezuitach, widząc w przyszłej akademii wielkie ułatwienia w kształceniu dzieci swoich, król był chętny myśli podniesionej, gorącym jej zwolennikiem był kanclerz Prażmowski, a... Akademia krakowska nie dawała nawet znaku życia.

Chwila decydująca nadeszła...

Zaraz po nowym roku 1661 bawił król Jan Kazimierz w Krakowie. Zaproszony przez Jezuitów zwiedził także ich nowicjat przy kościele św. Macieja. W czasie tej wizyty przystąpił do niego ks. Jędrzej Sikorski z gotowym już i jakoby przez siebie ułożonym dyplomem erekcyjnym Akademii lwowskiej i prosił o jego zatwierdzenie, oraz o podpis ręki królewskiej. Król uprzedzony już przedtem o rzeczy podpisał dokument, poczem go ks. Sikorski schował. Rzecz odbyła się w najściślejszej tajemnicy, tak, że Akademia nie miała nawet najlżejszego przeczucia o tem, co się stało.

Król ruszył następnie z Krakowa do Częstochowy, a w ślad za nim ks. Sikorski z przywilejem, któremu do mocy prawnej brakło jeszcze pieczęci kancelaryi koronnej. W Częstochowie znalazł się i biskup Prażmowski, wobec czego w kancelaryi większej koronnej nie czyniono za-



dnych trudności i wnet u dokumentu zawisła pieczęć, a sam dokument wciągnięty został do księgi kanclerskiej. Ks. Sikorski odetchnął zapewne głęboko, jakby mu kamień spadł z serca.



Ryc. 1. Król Jan Kazimierz, fundator Akademii T. J.
(Według portretu w zamku Gripsholm w Szwecji).

Bo w owym przywileju czarno na białym stwierdził król Jan Kazimierz, że „zgodziliśmy się łatwo i chętnie,

ażeby dla Kollegium OO. Jezuitów we Lwowie godność akademii i tytuł uniwersytetu został nadany.

„I pozwalamy, aby w temże Kollegium generalne studyum w każdym dozwolonym fakultecie ustanowione było, t.j. teologii scholastycznej i moralnej, filozofii, matematyki, obojga prawa, medycyny, sztuk wyzwolonych i nauk zgoda wszystkich, według przyjętego akademii i uniwersytetów zwyczaju i praktyki.

„I to pod nazwą uniwersytetu, akademii ustanawiamy po wieczne czasy“.

Dalej chciał jeszcze król i dokładnie to wyraził w przywileju, „ażeby ta akademia i uniwersytet cieszył się i używał tych samych praw, przywilejów i prerogatyw, wolności, tytułów, odznaczeń, godności i urzędów i jakiegobądź nazwy faworów, beneficjów, odpustów, jakimi cieszą się Akademia krakowska i wileńska. Przedewszystkiem zaś pozwalamy, ażeby stopnie akademickie bakałarza, magistra, licencyata, doktora i inne w uniwersytetach zwyczajne promocyje i uroczystości, ile ich i w jaki sposób zwyczaj niesie, w tymże lwowskim OO. Jezuitów uniwersytecie odbywały się i obchodziły“.

Oddając wreszcie zarząd i prowadzenie uniwersytetu w ręce Jezuitów, przyrzekł Jan Kazimierz imieniem swoim i następców, „że tenże Uniwersytet lwowski w tem wszystkim, co do całości jego należy i ważności, w mocy i świetności zachować i bronić będziemy. Co też i najjaśniejsi następcy nasi zawsze uczynią. Ażeby zaś rzecz ta miała swoją moc i siłę, królewską swą ręką przykładamy i erekcję akademii i uniwersytetu podpisujemy i przyłożyc pieczęć królewską na ten dyplom, czyli przywilej rozkazaliśmy“.

Przywilej jasno i niedwuznacznie wystylizowany, a wydany, z zachowaniem wszystkich formalności kancelaryjnych, nie dawał powodu do żadnych wątpliwości.

Król polski oświadczył, że wolą jego jest, aby we Lwowie powstał uniwersytet.

I gdyby to oświadczył Władysław Jagiełło, lub jeszcze nawet Stefan Batory, rzecz byłaby skończona. Mogłoby jeszcze chodzić najwyżej o zatwierdzenie ze strony papieża, ale byłaby to jedynie, acz uciążliwa i kosztowna, formal-

ność tylko. Za Jana Kazimierza było już jednak inaczej. Władza królewska zanadto osłabiona, wszechwładną była tylko wola stanu szlacheckiego reprezentowana w Sejmie.

Musieli tedy Jezuici — chcąc faktycznie zamknąć drogę wszelkim sporom — zyskać uchwałę sejmową, zatwierdzającą przywilej królewski, a nadto aprobatę jego w Rzymie.

Była to jednak droga długa i przepaścista.

Ale zanim na nią wstąpimy, śledząc dalsze losy Akademii lwowskiej, trzeba się zatrzymać chwilę nad tym doniosłym dla Uniwersytetu lwowskiego dokumentem.

Przywilej Jana Kazimierza sam w sobie stwarzał fakt dla idei Uniwersytetu lwowskiego epokowego znaczenia. Bo od tej chwili, od dnia 20. stycznia 1661 musi się rozpocząć rachuba lat istnienia lwowskiego Uniwersytetu i ta, a nie inna data musi służyć za punkt wyjścia co do jego założenia. Sam przywilej, choć nie wciągnięty do konstytucji koronnych, miał w każdym razie swoje samoistne znaczenie prawne, które odebrać mógł mu król tylko, odwołując swoje słowa.

To jednak nie stało się nigdy, a tak przywilej Jana Kazimierza został zwalczanym wprawdzie zaciekle, ale co do swojej istoty przez nikogo nie kwestyonowanym kamieniem węgielnym lwowskiej Akademii, chwilą jej narodzin, przyobleczeniem w rzeczywiste kształty tych wszystkich dążeń, które zmierzały do ustanowienia we Lwowie najwyższej uczelni, w zakresie teologicznym, jak wszędzie naówczas na świecie i z celem praktycznym ściśle lokalnym, dla wytworzenia duchowieństwa i szermierzy katolicyzmu przeciwko prawosławiu.

Ale równocześnie w tym przywileju na otwarcie Akademii lwowskiej było trochę także tragicznego pierwiastku. Bo te słowa królewskie w stosunkach Rzeczypospolitej mogły być łatwo zaczepione, a pod naciskiem okoliczności dawały powód do uporczywych procesów, wśród których nieraz upadały zamysły, co im przyszłość dopiero mogła błogosławić. Myśli i przedsięwzięciu, o które dziś narody walczą ze wszystkich sił, sprzeciwiała się wola narodu szlacheckiego. Ale na tle czasu i epoki to tylko drobny fragment, mała częśćka tego tragizmu, który uwiś nad dziejami Polski i do upadku ją prowadził. Tragiczne były

wszystkie wielkie poczęcia w Rzeczypospolitej i tragiczna jej niemoc czynu, nawet negatywnego.

Bo żaden sejm ani sąd nie mógł się zdobyć na to, ażeby stanowczo i raz na zawsze unieważnić przywilej Jana Kazimierza na erekcję lwowskiej Akademii, ani stwierdzić oficjalnie to, co mu zarzucano, że uzyskany został przez Jezuitów *ob male narrata, ob malam informationem*, czyli po prostu przez wprowadzenie w błąd króla. Skutkiem tego przywilej z dnia 20. stycznia 1661, wydany na pastwę sporów prywatnych, stanowił zawsze źródło, z którego było można zaczerpnąć argumentów procesowych i siły do dalszego działania, na nim można było oprzeć stan faktyczny, którego żadne procesy wstrzymać całkowicie, ani znieść nie mogły.

Rzeczpospolita nie zdolna już była do tworzenia nowych, wielkich instytucji naukowych, ani do utrzymania w blasku i świetności dawniejszych, ale też równocześnie nie była zdolną do ubicia w zarodku twórczych, czy też tylko ambitnych zamysłów jezuickich.

Więc też mimo braku pełnej mocy wykonawczej przywileju, ale i mimo sprzeciwów sejmu i sejmików istniała we Lwowie szkoła o poziomie akademickim i trwała na tym poziomie aż do końca Rzeczypospolitej, a nawet jeszcze dalej, bo do kasaty zakonu Jezuitów i jeszcze dalej, bo *disiecta membra*, poszczególne części Akademii jezuickiej stały się podwaliną Uniwersytetu józefińskiego. Szkoła ta wobec aktów publicznych nie zawsze mogła używać tytułu akademii, ale można było w niej uzyskać stopień doktora teologii, a w pewnych czasach i filozofii, rektor nie miał tytułu „*magnificus*“, nie było dziekanów, ale były dwa fakultety, t. j. *artium*: filozofii, matematyki i fizyki i *scienciarum*: teologii dogmatycznej i moralnej, egzegezy i hebraiki, było też czasami prawo i medycyna. — Nie było splendorów i bereń akademickich, ale dysputy teologiczne i filozoficzne odbywały się dosłownie tak samo, jak na każdym uniwersytecie, tak samo broniono publicznie tez drukowanych, ta sama wreszcie wolność akademicka (niestety nadużywana) służyła studentom.

Od chwili wydania przywileju Jana Kazimierza sformułowały się wszystkie, dotąd ciche pragnienia założenia

Oblata Privilegy super Acade- miam Leopoli in Collegio PP Soc: Jesu erigendam

Joannes Casimirus Rex. Significamus

Quomodo coram Ato: Metrice Regni Cancellaria Maioris comparente perso-
naliter Andri: Pater Andreas Sikorski Societatis Jesu Presbyter. Al-
lucini & Andri: in Christo. R. Dni Nicolai in Prazmow Prazmowski Episcopi Lu-
ceconensis & Brestoni Supremi Regni Cancellarii Theologus, obtulit ad Ato: pra-
sentibus inscribendum Privilegium Collegio Religiosorum PP Societatis Jesu fu-
pohensi: super nominis erigendam ibidem Academiam, a nobis nuper benigni
concessum, nam nostra subsum & sigillo Regni Maioris communitum, sa-
num, saluum & illasum, omnique suspitionis nota carens. Petens suscipi & sibi
ex iisdem Ato: de iure authenticum exradi. Cuius quidem Privilegy tenor
sequitur estque talis. Joannes Casimirus Dei gratia Rex etc. ad perpetuum
rei memoriam Euentum posteritati significamus. Regnum Regumq: filius
tus tantum sapientia debet, quantum uirtutis ac incrementis a foveat. Nihil enim
prospere nisi providi, vel inchoare vel producere Principibus populoque hinc. Sed
qui quoniam etiam ac firmam Status Imperiorum, utraque consilio robora non possunt
Quo magis aequum est, Magis etuditionis & s, omnisque politeris doctrinae
parentis simul ac numis abq: foveat, quicunque rerum gubernaculis admodum
publica moderantur. Hinc illud vetens aui, totiusque adeo castra antiquitatis, ac
Divinarum humanarumq: scientiarum propagatione studium, illa in promoven-
dis artibus honestis ac liberatibus cura, nec peritens nec vulgares. Profecto ne
quidem Diu Pradefiores nri Duxes & Reges Polonia, tot inter cunctis belloni
& turbida, mansuetas, tranquillitasque Abusas neglexere. Idem ipi erga tota
tam & sagatum Palladem amor, genius in uenas idem, ac Palasius. Admef
sa immifhaque sub ipam fides Catholica Regu Diadematis auspium. Miner-
uae notua, inde Lectura Aquisla mecti dum Gnesen gymnasium auidi suendi
Pma pum & Procerum ampliatas, superbus iam inde ceptu Thoro lustris exetit.

Ryc. 2. Dyplom fundacyjny Akademii lwowskiej.

(Pierwsza stronica wpisu czyli oblata w księgach Metryki koronnej).

we Lwowie najwyższego zakładu naukowego i od tej też chwili nie ustają one, ani nawet na chwilę. Stworzona zo- stała trwała podstawa dla Uniwersytetu lwowskiego i cią- głość usiłowań, powtarzających się przez półtrzecia wieku ustawicznie i ze siłą żywiołową. Lwów został przeznaczony na miejsce dla uniwersytetu polskiego, a ktokolwiek w ciągu wieków podnosił tę myśl: Jan Kazimierz, czy Jezuici, cesarz Józef II., Franciszek I., czy w dniach osta- tnich społeczeństwo polskie, broniące jego polskiego cha- rakteru, ten mimowiednie czy też świadomie spełniał to przykazanie, które miastu naszemu wyznaczyła dziejowa ko- nieczność i praktyczna, zawsze piekająca potrzeba.

Jako wyraz tej konieczności dziejowej i potrzeby jest przywilej Jana Kazimierza faktem wiekopomnym. Sformu- łował tę potrzebę, dał jej tyle siły, ile tylko dać mógł, przyszłej uczelni dał zakres należyty, wynosił ją tam, gdzie jej miejsce przynależne.

Od dnia 20. stycznia 1661 mówić można o Uniwersy- tecie lwowskim, i od tego też dnia mówiło o nim społe- czeństwo polskie, z niechęcią czasem, z nienawiścią, a cza- sem wreszcie drogą utartego zwyczaju i przyzwyczajenia. Już w siedmnastym wieku nazwa akademii „utarła się“, jak powiadano, w połowie ośmnastego wieku Hugo Kołłą- taj uznał w „Stanie oświecenia w Polsce 1750—1764“, że z wyjątkiem doktoratów Kollegium lwowskie uważane być mogło za *universitas* „i w samej rzeczy tak je uważano powszechnie“.

Tedy potomność z wdzięczną pamięcią uczcić winna akt Jana Kazimierza, chociaż z niego nie od razu wyszła pełna akademia. Zanadto wiele bowiem rzeczy w dawnej Polsce rozbijało się o niechęć i uprzedzenie współczesnych, abyśmy stanąć dziś mogli na punkcie ówczesnych sporów, przymykając oczy na faktyczne stosunki, na wpływ, jakie miały pewne akta i postanowienia w przyszłości. I jeżeli małe stosunkowo rzeczy z wielkimi porównać można, toż czcimy do dziś i we wdzięcznej chowamy pamięci słynne śluby tegoż samego Jana Kazimierza, choć nawet nigdy nie wykonane, czcimy pamięć Konstytucyi Trzeciego Maja, choć ją instytucja prawna i uznana „konfederacya“ targowicka złamała.

A tem więcej czcigodny jest podpis nieszczęśliwego króla na dokumencie erekcyjnym Akademii lwowskiej, że po tylu burzach dziejowych, przeszkodach, po tak wielkiej zmianie stosunków ona dziś w najogólniejszym zarysie i w głównej zasadzie pełni tę samą rolę strażnicy na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej, jak ją pełnić miała wówczas, gdy podpisem swym stwierdzał król, że... „wiele na tem zależy, aby także w ruskich ziemiach oddano po winną cześć poważnemu wyznawaniu cnoty i prawdy“.

II.

BURZA.

ATAK AKADEMIKÓW KRAKOWSKICH. NIC Z TEGO NIE BĘDZIE! NA SEJMIE. LWÓW WOBEC AKADEMII. ODROZENIE. PROTESTY. SŁOŃCE, KSIĘŻYC I GWIAZDY. AD MALE NARRATA. ODMOWA. DO RZYMU! NIE WOLNO ŚCIEŚNIAĆ PRZYWILEJU! POGROM ŻYDÓW WE LWOWIE. NOCNA WYPRAWA STUDENTÓW. GUZY I BLIZNY. MILCZENIE.

Ojciec Jędrzej Sikorski chowając podpisany i przypieczętowany przywilej królewski na erekcję Akademii we Lwowie, nie przypuszczał zapewne, że oczy całego konwentu Paulinów częstochowskich patrzyły uważnie na jego zabiegi i przejrzały natychmiast niebezpieczeństwo, grożące Uniwersytetowi jagiellońskiemu. W sto lat później skonstatowano ze strony Akademii z zadowoleniem, że właśnie Paulini częstochowscy „z przychylności afektu swojego, który zawsze mieli i mają ku Akademii krakowskiej“, donieśli ówczesnemu rektorowi o zamiarach Jezuitów i w ten sposób odkryli rzecz w tajemnicy kartowaną. I chociaż Jezuita wcale nie myśleli chować pod korzec uzyskanego przywileju i zaraz wciągnęli go, czyli oblatowali w aktach grodzkich, to przecież wczesna wiadomość o tem, co się święci, pozwoliła profesorom krakowskim przygotować się na czas do akcji odpornej.

„Natychmiast akademicy — czytamy w jednym z pism polemicznych¹⁾ — jedni rozjechali się po województwach na przedsejmowe sejmiki obierania posłów, donosząc prześwietnym województwom, księstwom i ziemiom, jako patronom, obrońcom i dobrodziejom swoim, o nowej pretensyi OO. Jezuitów erygowania nowej akademii we Lwowie, przeciwko prawom koronnym wszczętej, a oraz o gwałtownem

¹⁾ „Uwaga na napis albo tytuł skryptu wydanego roku 1759 względem erekcji Akademii we Lwowie“.

przywilejów swoich nadwreżeniu“. Inni wreszcie zabrali się do redagowania memoriału pisemnego, któryby argumentami prawnymi odeprzeć był zdolny groźne niebezpieczeństwo.

Równocześnie jednak w oficynie Elertowy wdowy w Warszawie drukowały się „*Rationes*“ ks. Sikorskiego, broszura agitacyjna, wykazująca potrzebę akademii we Lwowie, a najwybitniejsi członkowie Zakonu pracowali wytrwale nad zjednaniem dla siebie umysłów najwyższych dostojników Rzeczypospolitej.

Szczęście tu i zdawało się sprzyjać początkowo Jezuitom. Deputacyi akademickiej na sejmik w Proszowicach odpowiedział twardo marszałek wielki koronny Jerzy Lubomirski: „Nic z tego nie będzie; nie macie prawa przeskadzać, majestat Rzeczypospolitej wymaga więcej akademii“ — na rozpaczliwy list do burmistrza miasta Lwowa nie otrzymała Akademia żadnej odpowiedzi, nawet na sejm było trudno znaleźć odpowiednich delegatów.

Tymczasem termin otwarcia sejmu w r. 1661 zbliżał się coraz bardziej. Dnia 2. maja miały się rozpocząć obrady i nie ulegało wątpliwości, że na porządek dzienny przyjdzie sprawa zatwierdzenia przywileju królewskiego.

Zaraz z samego początku sejmu rozwinęli Jezuiti energiczną agitację. Broszura ks. Sikorskiego znalazła się w rękach wszystkich posłów, król Jan Kazimierz wysłał list do papieża Aleksandra VII. z prośbą, aby Akademii lwowskiej dał apostolskie zatwierdzenie i błogosławieństwo, oraz utrwalił ją na wieczne czasy, bo „sprawa katolicka wymaga uniwersytetu Jezuitów we Lwowie“. — Natomiast profesorowie Akademii krakowskiej Łukasz Prochowski i Marcin Radymiński doznali wszędzie jak najgorszego przyjęcia. „Nikt palcem tknąć, ani okiem wejrzeć na nas nie chciał, — skarżą się oni w liście do Akademii — sam Bóg wie, usta, pióro nie opisze, ile ucierpieliśmy i napracowaliśmy się, pukając do drzwi każdego z osobna, senatora i posła sejmowego“. Toż samo i drukowany ich memoriał, o którym jeden z mistrzów Akademii prywatnie powiedział, że „siła namieszano w nim grochu z kapustą“, na razie przynajmniej nie zrobił żadnego wrażenia.

Na memoriał ten odpowiedzieli Jezuiti natychmiast drugą broszurą, a tak cały sejm był pod wrażeniem sporu

o Akademię lwowską. Jedna i druga strona zwracała się do swych dawnych uczniów, zasiadających w senacie i sejmie, oczekując od nich ratunku i poparcia. Jezuiti byli pewni, że sprzyja im nie tylko król, ale wszyscy biskupi i senatorowie, a także bardzo wielka liczba posłów.

Decydującem w całej sprawie mogło być stanowisko miasta Lwowa. Gród lwowski, w tej chwili, po wstrzymaniu na swych barkach całej nawały kozackiej, tatarskiej i moskiewskiej, otoczony był powszechną czcią i podziwem. Wszakże niebawem nastąpić miała jego nobilitacja, a sława waleczności jego mieszkańców rozbrzmiewała po całej Rzeczypospolitej. Na sejmie właśnie bawiło poselstwo lwowskie z syndykiem miejskim Maciejem Kuczankowiczem na czele i to głośno oświadczało się za założeniem akademii we Lwowie.

Ale w samym Lwowie nie było jakoś jednolitej opinii. Wprawdzie część rajców z burmistrzem Marcinem Anczewskim oświadczyła się za Akademią lwowską, ale z drugiej znowu strony była silna opozycja przeciwko Jezuitom, na czele której stał rajca Sebastyan Kraus. Z rozdzielenia tego skorzystali zręcznie akademicy krakowscy, przedstawiając, że Lwów nie zgadza się na kreowanie Akademii jezuickiej. Píše o tem z żalem jeden z warszawskich Jezuitów, biadając, że niektórzy rajcy lwowscy, „żywąc we Lwowie, życzą więcej Krakowowi i piszą do Warszawy, zadając tem nie tylko kollegium lwowskiemu, które się o to starało, ale też królowi i kanclerzowi, jakobyśmy przywilej na akademię wbrew życzeniom miasta i z jego krzywdą uprosić mieli“. Żal był zupełnie usprawiedliwiony, bo sam Sebastyan Kraus czynił gorzkie wyrzuty posłom lwowskim, „żeście panowie bez naszego przyzwolenia przyczyniali się imieniem naszym do JX. Kanclerza, aby mogła nowa akademia stanowić się, a my na to nie dawaliśmy żadnego konsensu“.

W miarę trwania obrad sejmowych opozycja przeciwko Jezuitom poczęła coraz bardziej podnosić głowę, tak, że gdy sprawa Akademii lwowskiej przyszła na porządek dzienny, od razu odezwały się przeciwko niej w izbie poselskiej głosy protestu. Wobec tego kanclerz i przyjaciele Jezuitów, ratując sprawę, wywołali rezolucję, że „dla

nawalności interesów Rzeczypospolitej ta sprawa na tym sejmie nie może być roztrąszona, dlatego ją odłożono do przyszłego blisko następującego sejm.

Nie ulega wątpliwości, że głównym powodem obaw Jezuitów i co za tem idzie odroczenia sprawy, było stanowisko miasta Lwowa. Umiała też to wdzięcznie ocenić Akademia krakowska, wysyłając natychmiast po skończonym sejmie list dziękczynny do Rady miejskiej, że „się wyparli przed posłami, jakoby miasto żądało akademii, żądał bowiem tego jeden lub drugi, który się za radę i magistrat uważał“.

Mimo rozwiązania sejmów sprawa nie przestała roznamiętniać umysłów. Posłowie krakowscy i ziemi halińskiej wnieśli do aktów grodu warszawskiego uroczystą protestację przeciwko Akademii lwowskiej, siedmiu innych posłów sejmowych natychmiast reprotestowało, kapituła lwowska w liście do rektora i Akademii krakowskiej przyrzekła bronić „starej matki, Akademii krakowskiej, tej żywej oliwki w domu bożym“, a nawet wikaryusz chorego generała Jezuitów w Rzymie dowodził, że sprawa zawisła od papieża „i nie wypada, abyśmy cokolwiek rozpoczynali, nie czekając na wskazówkę najwyższej powagi“.

Jasny zrazu horyzont Akademii lwowskiej zaczął się coraz bardziej zaciemniać. Odżyło u szlachty stare przywiązanie do Akademii krakowskiej i w miarę jak rosła agitacja z jej strony, gorzeć poczynało jasnym płomieniem a równocześnie coraz większą niechęcią ku Jezuitom. Z sejmików przedsejmowych r. 1662 jeden tylko sejmik w Sądowej Wiszni oświadczył się wyraźnie i stanowczo za Akademią lwowską, upatrując w niej korzyści dla dzieci szlacheckich i uważając niechęć Małopolan jedynie za zawiść podyktowaną względami konkurencyi.

W takim stanie rzeczy rozpoczął się sejm z r. 1662, na którym sprawa zatwierdzenia przywileju królewskiego stanowczo być miała załatwioną. Niestrudzony ks. Sikorski biegał po wszystkich senatorach i posłach, a widząc, że delegaci krakowscy Łukasz Piotrowski i Krzysztof Stekanowicz znajdują chętniejszy posłuch u drobnej szlachty, popadał w coraz większe zdenerwowanie, które go wiodło

do kroków fałszywych i słów niepolitycznych. Widząc bowiem, że nic nie wskóra ze szlachtą, począł silnie zabiegać koło senatorów, wyraziwszy się raz w izbie sejmowej: „o gwiazdy nie stojemy, kiedy nam słońce i księżyc świeci“, uważając króla za słońce, — senatorów za księżyc, a stan szlachecki za gwiazdy.

Niezręczne i niedyplomatyczne to porównanie oburzyło do żywego wszystką szlachtę, a gdy Jezuita, mając już słońce t. j. króla za sobą, zaczęli chodzić koło „księżycy“, t. j. zbierać podpisy senatorów, ażeby za ich powagą a z pominięciem sejmów, otrzymać zatwierdzenie przywileju w Rzymie, wybuchło owo oburzenie jasnym płomieniem. Trzydziestu jeden posłów z Korony i Litwy, z marszałkiem sejmowym Janem Wielopolskim na czele zaniósł uroczysty protest do grodu warszawskiego, w którym zastrzegają się przeciw nowej akademii i przeciw przywilejowi królewskiemu, *ad male narrata* otrzymanemu.

Wobec tego przywilej nie uzyskał zatwierdzenia, ale też nie przyszło do żadnej uchwały, któraby go znosiła, lub unieważniała, nie było żadnego zakazu. Sejm pominął sprawę, rzucając ją na losy procesów. W senacie przemówili za przywilejem tylko biskupi Prażmowski, Trzebiecki, Stanisław Sarnowski i Ujejski, i oni to razem z kasztelanem Stefanem Czarnieckim podpisali memoriał, przeznaczony dla Rzymu.

Do Rzymu też przeniósł się obecnie punkt ciężkości całej sprawy. Jezuita wyteżyli wszystkie swe siły, aby uzyskać zatwierdzenie papieża Aleksandra VII., wychodząc z zapatrywania, że wobec woli króla i papieża sejm i nadal nie zdobędzie się na stanowczy zakaz otwarcia nowej akademii.

Na forum rzymskiem stanęła także Akademia krakowska, reprezentowana przez najtęższego swojego teologa ks. Marcina Winklera, podczas gdy Jezuitów bronił ich prokurator O. Ubaldini. Stanęły przeciwko sobie dwa memoriały, jeden „Dlaczego papież nie powinien odkładać zatwierdzenia przywileju O. O. T. J. danego“, drugi „Dlaczego papież odmówić powinien zatwierdzenia przywileju na otwarcie akademii w kolegium OO. Jezuitów we Lwowie“.

Aleksander VII. polecił domowemu swemu prałatowi ks. Fagnano zbadać obydwie memoryały, a gdy ten stanął raczej po stronie Akademii i protestów szlacheckich, uprosił Ubaldini u papieża nową komisję do rozpatrzenia tej sprawy, do której to komisji weszli kardynałowie Franciotti, Corrado, Albizi, Rospigliosi, oraz prałaci Fagnano i Albrici.

Przed tą komisją stanął ks. Ubaldini w towarzystwie trzech najznakomitszych prawników rzymskich z jednej, a ks. Winkler ze strony drugiej. Komisja nie doszła początkowo do żadnego rezultatu i dopiero na podstawie informacji nuncjusza w Polsce, Marescotti, który odpowiedział, że protesty szlachty są w ustroju państwa polskiego wielkiej wagi, a Lwowowi specjalnie nie zagraża schizma, wystąpiła z wnioskiem odmawiającym zatwierdzenia przywileju Jana Kazimierza.

Papież w stanowczej formie zrobić tego nie chciał i dlatego polecił nuncyuszowi Antoniemu Pignateli, ażeby wynalazł jaką pośrednią drogę, któraby obie strony zadowolniła. W czasie pobytu swego we Lwowie razem z parą królewską w r. 1663 zaproponował Pignateli Jezuitom, ażeby zadowolnili się prawem nadawania stopni doktorskich z teologii i filozofii, a zrezygnowali z prawa i medycyny. Jezuiti nawet o tem słyszeć nie chcieli, uważając, że nie wolno im ścieśniać woli królewskiej, a prawo nadawania doktoratów teologicznych i filozoficznych należy się im i tak, na podstawie dawniejszych bul papieskich.

Jakby na dobitkę wszystkich nieszczęśliwych okoliczności, które stanęły u kolebki lwowskiego Uniwersytetu, wybuchły w r. 1664, bezpośrednio po wyjeździe króla ze Lwowa, rozruchy przeciwko żydom, w których młodzież Kollegium jezuickiego wzięła wybitny udział, zwracając przeciwko sobie opinię publiczną. Religijny fanatyzm tłumów niejednokrotnie przedtem i potem zapalał żagwie pogromów żydowskich, w tym jednak roku pogrom żydostwa przedmiejskiego był zupełny i straszny. Przeszło stu żydów legło na placu, nie licząc rannych, wszystkie prawie domy dokoła bożnicy przedmiejskiej zdemolowane, towary zrabowane, szkody rzeczywiste duże, w późniejszej przesadzie aktów i skarg dochodziły do olbrzymich rozmiarów.

Udział, a nawet inicjatywa uczniów jezuickich w tym pogromie nie ulegała żadnej wątpliwości. Stwierdza ją historyk Jezuitów Wielewicz¹⁾ i równocześnie przeprowadzona na ratuszu inkwizycya całego szeregu naocznych świadków. Nie tu miejsce na szczegółowy opis zająć tragicznych, ani na badanie ich właściwych przyczyn, ale w aktach radzieckich lwowskich dochował się bardzo ciekawy obrazek tego rozruchu, rzucający wiele światła na życie studenckie w dawnych czasach. I dlatego godzi się go tutaj przytoczyć. Niedawny pogrom w Krakowie rzucił popłoch na żydów lwowskich do tego stopnia, że się ci „w berdysze, szable, strzelbę, siekiery przysposabiali, nawet siekacze na kije wielkie nabijali i właśnie jako na wojnę się gotowali, a popiwszy się w nocy hałasy robili, strzelali, berdo (wer da!) wołali i ludzi chrześcijan bili“.

W sobotę 3. maja 1664 wypadła uroczystość Znalezienia św. Krzyża, uroczyście przez pospólstwo lwowskie obchodzona i kiermasz pod św. Jurem, na który zbiegła się cała okolica, „wiele ludzi obcych, chłopów, Niemców, służących, rozmaitego ludu bardzo gmin wielki“.

„Wobec tego żydzi już od rana schodzili się pod bożnicę, a po obiedzie całe się tam zgromadzali, w liczbie około czterystu z różnymi orężami i zaraz zgromadziwszy się, poczęli się szykować w szeregi i na trzy kupy rozdzielili się, pobrawszy między siebie hajduków. A tymczasem gdy się szykowali, konwiami miód nosili, a pili i zgoła popili się, a hersztami między nimi byli Lejzor Kuska i Turczyn żyd drażnik i syn Męczyszyn“.

Rozpoczęły się drobne utarczki z gawiedzią, przeważnie z wyrostkami, na których jeden oddział żydowski natarł i spędził aż do bramy Krakowskiej. W zamieszaniu posieczon został straszliwie berdyszami uczeń rzemiosła mieczniczego, jakiś kucharz i włościanin.

Widok rannego mieczniczka, którego zaniesiono do cyrulika i zaraz na śmierć dysponowano, wzburzył tłumy studenckie, a tymczasem żydzi stanęli zbrojno przed bramą Krakowską.

¹⁾ Rps. bibl. nadw. we Wiedniu p. 275. Acta cons. T. 66. p. 517.

„Znowu tegoż czasu — powiada jeden ze świadków — dwóch jakichsi Niemców przyjechali wierzchami i dziwowali się szeregom żydowskim. A wtem ścisnąwszy ramionami posiadali z konia i pieszo stali przed bramą. Wtem wysypała się wielka gromada studentów z szablami, z łukami z miasta, do których pomienieni Niemcy rzekli: Wiedzicie panowie, jako się krew chrześcijańska leje. A wy też panowie dokąd idziecie? Słusznieby się tej krwi niewinnej zemścić!

„A owi zaś gromadni ludzie odpowiedzieli: Razechmy się rozdili i raz nam zginąć przyjdzie za krew chrześcijańską!

„A wtem jeden Niemiec jedną gromadę zawiódł w ulicę w tył, gdzie żydzi byli, drugi zaś Niemiec także w drugą ulicę, w której się żydzi za chłopięty uganiali, drugą gromadę zawiódł i przywiedłszy ich, obskoczyli żydów, tamże ich w ulicach napędziwszy w ciasny kąt, bili, siekli...

„Żydzi, widząc, że źle około nich, do bożnicy uciekali i uchraniali się, ale i tam te gromady wpadły wielkim tumultem i tam ich w bożnicy bili. Przydało i to tumultu, że przedtem żydzi z domów, kamienic, ze sklepów strzelali na gmin i rozmaitymi pociskami bili ludzi, skąd potem domom żydowskim dostało się. A że też podtenczas kiermasz był Świętojurski, co żywo garnęło się na ten tumult na żydy, tak od św. Krzyża, jako też od św. Jura i co żywo gromadno biegało, rozmaity lud miejski i słuźali nie wiedzieć skąd, sroga się moc ludzi różnych do tego tumultu przymieszała i na domy żydowskie szturmowała“.

Wiadomość o pogromie rozeszła się po całej Rzeczypospolitej. Żydzi poszli z żałobą do wszystkich instancyj, do króla, do prymasa i do najwyższych dostojników. Zarządzono surowe śledztwo, rozkazano Jezuitom wydalić natychmiast z Kollegium wszystkich uczniów podejrzanych o udział w rozruchach. Jezuici uczynili zadość temu żądaniu, studentów pokarano, jednego nawet śmiercią, ale zawsze odium całe spadło na Kollegium i nie mogło się wcale przyczynić do wyniesienia go do godności akademickiej.

Również i miasto coraz niechętniej patrzyło na studentów jezuickich, bo i samo sporo miało kłopotów i nie-

przyjemności z powodu pogromu żydowskiego, a do tego krewki, niespokojny, wiecznie burzliwy żywioł studencki dawał się srodze we znaki spokojnym mieszkańcom. Zwłaszcza bezpośrednio po pogromie, wobec rozburzenia umysłów w mieście, musiało mieszczaństwo zaciągać nocne warty i stawiać czoło burdom ulicznym, wśród których raz jednego padł, ugodzony kulą, jeden z najznakomitszych mieszczan lwowskich, Stancel Szolc.

Opis zajścia tego, również bardzo charakterystyczny, zostawił szwagier zabitego Stancla, aptekarz i obywatel lwowski Jan Złotorowicz, słuchany później jako świadek:

„Dziś tydzień w nocy w pół na trzecią godzinę szło czterech studentów do Postrzygaczki (gospoda) pod ratusz, to jest Haszczewicz, Dilewicz, pan Kazimierz Wiszowaty i Łukaszewicz. Ci nam, stojącym na warcie dali przyczynę mówiąc: a wy tacy a tacy synowie, na nas to studentów wartujecie! A wtem Dilewicz rzekł: wiedzcie wy o tem iż nas tu nie tylko, jest nas więcej, nie frasujcie się, a ten taki a taki burmistrz jest na ratuszu — wzięliście nam Muchowskiego!

„Jam się odezwał: nieprawdę mówisz i perswadowałem panu Wiszowatemu: pójdźcie Waszmość spokojnie, żebyście albo Waszmość od nas, abo my od Waszmościów nieszczęścia nie uszli! P. Wiszowaty zaraz się wymierzał mówiąc: ja nie mam broni żadnej, z teką tylko pod pachą idę, bom dla poprawienia kompozycyi do Ichmościów drugich przyszedł był. Jakoż widziałem tekę.

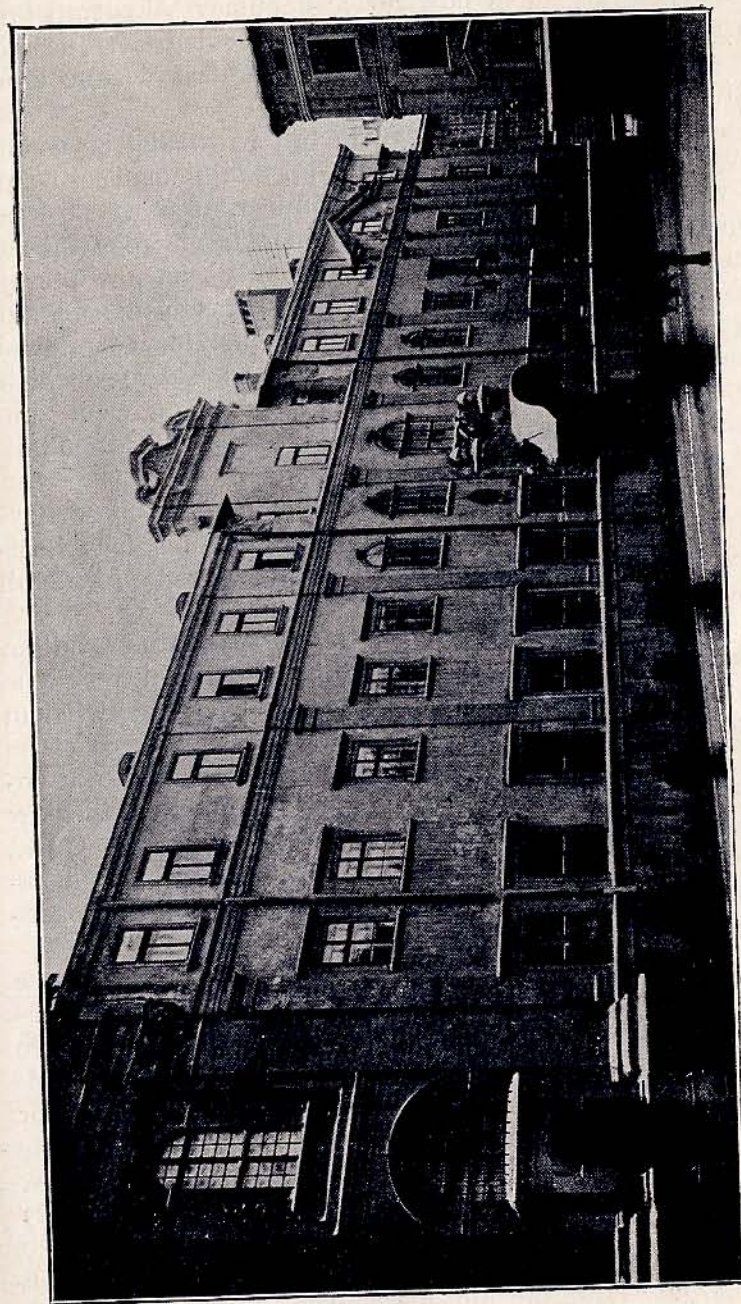
„Kołataliż tedy do Postrzygaczki, która otworzywszy drzwi wpuściła ich. Prosil nieboszczyka Stancla i mnie na szklanice piwa, ale, że pan Stancel dziękował onym, mówiąc, że miał wolę nazajutrz jubileusz odprawować, nie, poszliśmy. Jakoż weszli pomienieni wszyscy czterej studenci do Postrzygaczki, a ja nieboszczykowi Stancelowi rzekłem: chwała Bogu, buntownik największy jest tu, pójdź Waszmość Panie szwagrze spać. Pójdę i ja, na co odpowiedział nieboszczyk, jeszcze rychło spać, zabawię się.

„Wtem jako wyszli ci studenci od Postrzygaczki, nie wiem, bom nie widział tego, tylko jakeśmy usłyszeli, że krzesali szablami do warty i do Ormian, rzekłem, ażeby w pogotowiu byli i tak się stało, bo pobudziłem drugich,

którzy spali, że wszyscy w sprawie stanęli. Jakoż mi powiedział pan Czapczyni, sługa Jegomości Pana Podstolego lwowskiego, że ciż studenci szablami krzesali i najpierwej do kamienicy nieboszczyka pana Sanockiego drzwi wysiekali, a na potem i w oknach tegoż pana Czapczyniego krzesali dalej i na wartę, która w Żydowskiej ulicy była, z szablami gołemi skoczyli, mówiąc dragonom, tam będącym: a przyszlście do lontów tacy a tacy synowie! Ale że lontami kręcili i ogień mieli dragoni, rzekli, słyszę, ciż studenci: macie szczęście tacy a tacy synowie!

„Odszedłszy od tej warty znowu krzesali i strzelali. Ja to usłyszawszy wyrzycowałem działko swoje ku Żydowskiej ulicy, upomniawszy wartę, aby się na stronę umknęli i żeby nie strzelali, a to, aby sami siebie nie razili. Potem hałas się stał. Skoczyliż Ormianie z łukami i nieboszczyk pan Stancel z pistoletem, z którego jeno tylko wystrzelił, okrzyk się stał. Więc, że Ormianie z łukami tył poczęli dawać, jam ich rozparł, a wtem krzyknąwszy, studentów poparliśmy, kędy dwóch zaraz pojmawszy, Dylewicza i Łukaszewicza, a Haszczewicz jako mi opowiadano uciekł. Prowadziliśmy ich na ratusz, a że zabito pana Stancela, nie wiedziałem, aż zobaczyłem, że już zabitego na ratusz nieśli. Wtem ja obaczywszy trupa, na Dylewicza do szabli porwałem się mówiąc: bodaj was zabito! Kiedybym wiedział, żeście mi szwagra zabili, tedy was było nie trzeba tu prowadzić, ale zaraz na miejscu pozostawiać!”

Taki oto obrazek zaciemniał od czasu do czasu życie szkolne. Bójki studenckie nie były niczem nadzwyczajnem w owych czasach, widownią ich bywała Akademia krakowska bardzo często. Ale to właśnie brali za złe Akademii najpoważniejsi mężowie współcześni i to było jednym z powodów, dla którego ten i ów dygnitarz był początkowo przychylny Akademii jezuickiej. Jezuici bowiem dawali większą gwarancję, że potrafią utrzymać w karbach wracającą młodzież swoich uczniów. Skoro więc obecnie i to w samym trakcie starań o Akademię lwowską, dochodziło we Lwowie do tego rodzaju gorszących wybryków, nie dziwota, że zniknęły i resztki sympatii dla przedsięwzięcia jezuickiego, że upadał jeden z bardzo ważnych argumentów przeciwko Akademii krakowskiej, że już wtedy taki na przykład Jerzy



Ryc. 3. Dawne Kollegium 00. Jezuistów we Lwowie.
(Obecnie c. k. Sąd krajowy).

Lubomirski nie mógł powiedzieć deputacyi Akademii krakowskiej to, co jej jeszcze w r. 1661 powiedział: „uczniowie wynoszą z niej guzy i blizny, zamiast wiedzy nauk i sztuk pięknych“.

W ten sposób sprawa Akademii lwowskiej ucierpiała znacznie i pod względem moralnym. Skutkiem tego i dalszy wysiłek Jezuitów, ażeby na sejmie r. 1665 uzyskać zatwierdzenie przywileju Jana Kazimierza, nie rokował nadziei powodzenia. Ale wysiłek ten obudził na nowo czujność Akademii krakowskiej, która przez usta sejmiku proszowickiego domagać się poczęła konstytucyi sejmowej, któraby ją raz na zawsze uchroniła od zakusów jezuickich, z drugiej znowu strony starała się za pośrednictwem nuncjusza u papieża o nakaz wiecznego milczenia dla Jezuitów w sprawie Akademii lwowskiej.

Sejm r. 1665 został zerwany, nakaz milczenia z Rzymu nie przyszedł, ale aż do końca panowania Jana Kazimierza panowało faktyczne milczenie dokoła Akademii lwowskiej.

Wobec niechęci szlachty nie pozostawało Jezuitom nic innego, jak utrzymywać swoje Kollegium faktycznie na wyżynie akademii, nie używając przyznanych przywilejem zaszczytów i splendorów, a równocześnie wrócić do starej bulli Juliusza III. z r. 1552 i żądać na jej podstawie pozwolenia nadawania stopni akademickich alumnom Kollegiów w Poznaniu i we Lwowie. Generał Jezuitów O. Oliwa zgodził się na to w r. 1673 i odtąd w tym ścieśnionym zakresie przysługiwało Kollegium lwowskiemu prawo nadawania alumnom jezuickim doktoratu teologii.

To prawo, oraz słowa przywileju Jana Kazimierza i faktyczny stan szkoły ostały się Jezuitom z całej tej zacieklej, kilkuletniej kampanii. I jakkolwiek nie przyszło wówczas do założenia pełnego o czterech fakultetach uniwersytetu we Lwowie, to przecież ten domowy splendor akademicki i wcale nie unieważniony, ani urzędownie nie odwołany przywilej królewski stawiały Kollegium Jezuitów we Lwowie w rzędzie wyższych uczelni krajowych, dawały mu dużo uroku w oczach rodziców dziatwy szkolnej, dużo poczucia wyższości u samychże uczniów, dawały Jezuitom wreszcie, jeżeli już nie możność, bo tę zawsze mieli, trzy-

mania programu nauk na wysokości akademickiej, to żywą i gorliwą chęć utrzymania się na tym poziomie i faktycznego współzawodnictwa z Akademiami krakowską i zamojską.

Jakoż istotnie, jeżeli chodzi o produkcję naukową na zewnątrz, to z prasy drukarskiej Kollegium lwowskiego wychodziły rzeczy w żadnym wypadku nie gorsze od ksiąg krakowskich i zamojskich, w bardzo wielu wypadkach znacznie lepsze, a zawsze takie, do jakich się tylko wzbicie umiał współczesny geniusz nauki, o skrzydle ospałem i wyschłym mózgu, tak jak on był wówczas wszędzie w tej dobie zastoju i upadku.

III.

ACADEMIA LEOPOLIENSIS.

ARGUSOWE OKO PIJARZY. ZATWIERDZENIE PRZYWILEJU JANA KAZIMIERZA. BULLA KLEMENSA XIII. DEKRETY INHIBICYJNE. AGITACYA SZLACHTY I DUCHOWIEŃSTWA. OTWARCIE AKADEMII PODCZAS PODNIESIENIA. PIERWSZY DOKTOR. BROSZURY POLEMICZNE. WSZĘDZIE PROTESTY. ARCYBISKUP PROTEKTOR. OO. JEZUICI NIE ZAMKNĄ AKADEMII. BOJKOT. ROZPRAWA ASE-SORSKA. REMISSA AD RELATIONEM. W WIECZNYM ZAWIESZENIU. AKADEMIA: JEJ PROFESOROWIE I UCZNIOWIE.

Od chwili uzyskania przywileju Jana Kazimierza nie ustawali Jezuici ani na chwilę w dążeniu do wyniesienia swojego Kollegium. Wykładali w niem te same przedmioty, co w Krakowie i Zamościu, gromadzili w murach swojego zakładu coraz więcej uczniów, zbudowali istniejący do dnia dzisiejszego, a imponujący rozmiarami gmach kollegialny, odbywali dysputy naukowe. Jednem słowem szkoła ich powszechnie była uważana za akademię i cieszyła się uznaniem króla Jana III., który w czasie częstych swoich pobytów we Lwowie brał udział w jej życiu i często zachodził na rozmowy uczone ze słynnym „geometrą“ ks. Sol skim. Również bezwzględne zaufaniem darzył ją i hetman wielki koronny Stanisław Jabłonowski, oddając jej synów swoich na wychowanie. Ale strzegła jej pilnie i zazdrośnie Akademia krakowska, uderzając na alarm za najmnij szym nawet poruszeniem sprawy. Chcieli wprowadzić u siebie wykłady anatomii, było cicho, ale gdy poszli przed króla z prośbą o zatwierdzenie anatoma Tomasza Budnego na urzędzie profesorskim, natychmiast podniósł się krzyk i August II. wydał zakaz dalszych wykładów z tego zakresu. I tak na każdym kroku się działo, przy wprowadzeniu każdej nowości. Doszło wreszcie do tego, że nabycie pierwszej lepszej kamienicy we Lwowie przez Jezuitów było w oczach mistrzów krakowskich podejrzone,

każde rozszerzenie istniejącego Kollegium uważano za przyszy gmach akademicki.

Mimo jednak tych przeszkód Jezuici nie ustawali w pracy, rozszerzyli swoje Kollegium tak, że mieściło wygodnie ponad siedmset uczniów, urządzali publiczne dysputy i widowiska, z drukarni ich wychodziły nie tylko panegiryczne płody natchnienia uczniów i profesorów, ale dzieła wcale poważne, jak ks. Tadeusza Krasin skiego „Tragica vertensis belli persici historia“, ks. Kaspra Niesieckiego „Herbarz“, Bogatki podręcznik sztuki wojennej i wiele innych.

Wtem jednak poczuli się Jezuici gwałtownie zagrożonymi i to ze strony Pijarów, którzy im poczęli skutecznie wydierać berło oświaty w Polsce. Pijarzy, mając we Lwowie gorliwego swego przyjaciela w osobie sufragana ks. Samuela Głowińskiego, zapragnęli tu założyć zakład naukowy dla synów szlacheckich, *collegium nobilium*. Jezuici oparli się temu stanowczo, schodząc tem samem na stanowisko konkurencyi i monopolu, które tak bardzo potępiali u Akademii krakowskiej. Co więcej, Akademia z sympatją patrzyła teraz na zabiegi Jezuitów, widząc w Pijarach i w ich systemie wychowawczym wroga i dla siebie także. Rozpoczęły się tedy obustronne kłótnie, matactwa i procesy, tak na gruncie lwowskim jak u dworu królewskiego, jak wreszcie w Rzymie. Najskuteczniejszym środkiem odparcia Pijarów zdawało się być założenie własnego *collegium nobilium*. Jezuici uczynili to natychmiast. Ale rola ich w Europie i w Polsce była już skończona, najwytrwalsze zabiegi nie wstrzymały zwycięskiego pochodu Pijarów, którzy ostatecznie utrzymali się we Lwowie i otrzymali z pewnemi ograniczeniami pozwolenie na założenie tutaj prywatnego *collegium nobilium*.

Wówczas to postanowili Jezuici zadać Pijarom cios ostateczny przez wznowienie dawnej sprawy Akademii lwowskiej. Dzielny i energiczny rektor lwowski O. Wereszczaka zabrał się rączy do dzieła, wspomagany przez cały Zakon. Król August III., wychowanek i przyjaciel Jezuitów, nie mógł robić żadnych trudności, sejmu nie było się potrzeba obawiać, bo sejmy dawno już nie dochodziły do skutku, więc była wszelka nadzieja, że obecnie uda się doprowadzić sprawę do pomyślnego wyniku.

Nadzieje nie omyliły. Dnia 18. kwietnia 1758 podpisał August III. dyplom, potwierdzający w całej osnowie przywilej Jana Kazimierza z r. 1661. „Uważaliśmy za rzecz słuszną, — powiada król, — tenże jej przywilej zatwierdzić, tak,



Ryc. 4. Król August III.

(Według sztychu Berngerotha — ze zb. Archiwum miejskiego).

żeby tenże Uniwersytet lwowski temi samemi prawami i przywilejami wszystkimi cieszył się, jakimi prawami i przywilejami na mocy konstytucji królestwa z r. 1635, albo w innym razie danej, cieszy się Akademia krakowska“.

Teraz już rzecz nie ulegała wątpliwości. Cokolwiek bowiem można było powiedzieć o przywileju Jana Kazimierza, to przez obecne potwierdzenie, w ówczesnych bezsejmowych stosunkach, nabierał on pełnej mocy prawnej, stawał się na nowo aktem twórczym, już w całym tego słowa znaczeniu.

Wypadało jeszcze tylko dawnym zwyczajem wyjednać zatwierdzenie przywileju przez papieża. I to poszło obecnie bardzo gładko, tem bardziej, że August III. wstawił się za Jezuitami u papieża Klemensa XIII. prosząc, aby Kollegium lwowskiemu, „które już od wieku te same w swych szkołach wyklada nauki, jakie na uniwersytetach wykładane bywają, powagą Stolicy apostolskiej tych samych udzielił praw, jakie Akademia krakowska od Stolicy św. otrzymała.

Papież przychylił się do prośby i bullą „*Cunctis ubique pateat*“ dnia 24. marca 1759 zatwierdził uroczyscie Akademii lwowską. W bulli stwierdzono, że w kolegium lwowskim od stu lat odbywają się uniwersyteckie wykłady, że przed stu laty Jan Kazimierz, a teraz August III. nadał temu Kollegium nazwę i przywileje uniwersytetu na równi z Akademią krakowską.

Wobec tego i papież podnosi Kollegium lwowskie do godności uniwersytetu, w którym wykładane być mają: gramatyka, retoryka, filozofia, teologia scholastyczna i moralna, a także dogmatyczna i pozytywna, kanony św. i prawo kanoniczne, a także, przez świeckich jednak mistrzów, prawo cywilne i inne nauki na równi z Akademią krakowską. Nowy ten uniwersytet oddaje papież pod zarząd zakonu Jezuitów, tj. generałowi i rektorowi Kollegium i nadaje im prawo promowania uczniów do wszystkich stopni akademickich, jak to w innych uniwersytetach się dzieje.

Zaledwie przebrzmiały podziękowania, a już wybuchła walka, tak ostra, że jej nawet równać nie można z agitacją z przed stu lat, kiedy chodziło o zatwierdzenie przywilejów Jana Kazimierza.



Ryc. 5. Pieczęć rektora Akademii lwowskiej T. J.

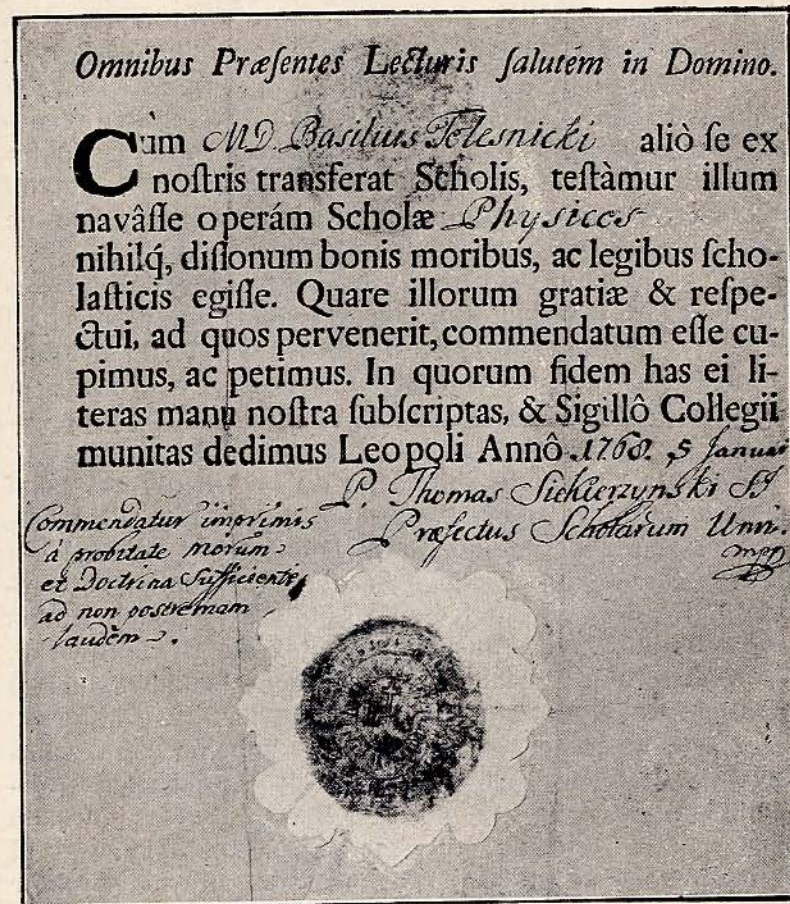
Początek zrobili Jezuici, rozrzuciwszy po kraju broszurę agitacyjną p. t. „Dyskurs dwóch ziemianów z okazji wydanej bulli od ojca św. Klemensa XIII. na lwowską Akademię“. W odpowiedzi na to posypały się jak z rogu obfitości pisma polemiczne ze strony Akademii krakowskiej i zamojskiej, a równocześnie mistrzowie krakowscy jeździli wszędzie, przedstawiając, „jako z tej nowej Akademii lwowskiej zagrażają niepowetowane szkody prawom i przywilejom Akademii krakowskiej, niebezpieczeństwa i prawie zguba ostateczna“. Do tego chóru przyłączyli się i Pijarzy, oraz wszyscy nieprzyjaciele Jezuitów, a nacisk i agitacja były tak silne, że z kancelaryi królewskiej wyszły aż dwa dekrety, odsyłające sprawę do sądów asesorskich i wzbraniające Jezuitom poczynać cokolwiek przed zakończeniem procesu.

Przez całe lato szalała nad Jezuitami burza agitacji szlacheckiej i duchownej. Tak bowiem kapituła lwowska, jak szlachta wołyńska, czernichowska, krakowska, oświęcimska i zatorska wniosły protesty do swoich grodów przeciwko Akademii lwowskiej. Stanęli przeciwko niej także prymas Łubieński, biskup krakowski Sołtyk, oraz wielu dygnitarzy Korony i Litwy. Nawet Rzym, dzięki różnym zabiegom, przemówił za Akademią krakowską. Z sygnatury bowiem sprawiedliwości wyszedł dekret, wstrzymujący również całą sprawę aż do rozstrzygnięcia sądów asesorskich.

Mając jednak w kieszeni dyplom królewski i bullę papieską, patrzyli Jezuici spokojnie na wezbraną przeciwko nim falę namiętności, a nie zbici z tropu protestami wyznaczyli dzień 11. grudnia 1759 na uroczyste otwarcie Akademii i promocyę pierwszych doktorów.

Już w kilka dni przedtem odbyły się ściśle egzamina i dysputy tych, którzy mieli otrzymać stopień doktorski, a wśród kandydatów znajdował się także i poeta Franciszek Karpiński. Sama uroczystość odbyć się miała z rozwinięciem całego przepychu i pompy, zwykłej w owych czasach i stosowanej przy każdej okoliczności. Zatoczono działa na Wysoki Zamek i na wały miejskie, przed kościołem stanęły kompanie wojsk starościńskich, kościoł Jezuitów i gmach udekorowano wspaniale, a w wielkiej i obszernej sali akademickiej znaleźli się biskupi ruski i ormiański w otoczeniu co przedniejszego kleru i wielu dostojników

świeckich, „zacnych patronów i przyjaciół Zakonu“. Wszyscy otrzymali drukowane tezy, rozpoczynające się od słów: „*Quod felix faustum fortunatumque sit Almae Universitati Leopoliensi, totique republicae Christianae*“.



Ryc. 6. Świadectwo akademickie z r. 1768.
(Według oryginału w Archiwum m.).

O oznaczonej godzinie wszedł do auli senat uniwersytecki w akademickich togach i biretach. Profesorowie i mistrze w czarnych płaszczach, kanclerz Akademii a zarazem prefekt nauk, a nareszcie rektor ks. Wereszczaka,

teraz już „*magnificus*“, w purpurowej todze, obszytej złotymi frendzlami i w birecie. Natychmiast też kanclerz Akademii ks. Franciszek Kokoszyński odczytał wszystkie dyplomy, odnoszące się do Akademii, a więc pierwszy przywilej Jana Kazimierza z r. 1661, dalej dyplom Augusta III. i bullę Klemensa XIII., poczem profesor wymowy ks. Dominik Sędzimir wygłosił dłuższą przemowę inauguracyjną.

Nastąpiła chwila najważniejsza, promocya nowych doktorów. Dokonał jej z zachowaniem wszelkich akademickich formalności rektor Wereszczaka, a nowych doktorów „przybrano w krótkie płaszczyki czarne z błękitnymi dokoła wyłogami, włożono złote doktorskie pierścienie na palec i podano pozłacane doktorskie berło do ręki“.

Po dokonaniu tego uroczystego aktu, który tyle kosztował zabiegów przez lat sto, tyle wywołał burzy, niechęci i agitacji, jeden z nowych doktorów wygłosił nadobną oracyę dziękczynną, poczem cały orszak ruszył w uroczystym pochodzie z auli akademickiej do kościoła, dla wysłuchania dziękczynnego nabożeństwa.

W czasie pochodu zbliżył się do rektora Wereszczaki rektor katedralnej szkoły lwowskiej, doktor filozofii i kleryk niższych święceń Jan Kanty Jankiewicz i wręczył mu obydwie dekryty królewskie, nakazujące wstrzymanie otwarcia Akademii aż do orzeczenia sądów asesorskich i takież dekret inhibicyjny rzymskiej sygnatury sprawiedliwości. Ks. Wereszczaka przyjął dekryty, poczem Jankiewicz usiadł spokojnie w ławce i słuchał nabożeństwa.

Nagle w czasie podniesienia, gdy zupełna cisza zapanaowała w kościele, rozległ się z ławek gromki głos „protestuje się ważność aktu tego!“ — W kościele powstała konsternacya i wielkie zamieszanie. Rzucono się zewsząd do miejsca, skąd wyszedł głos protestu, przybiegł rektor i profesorowie w togach, nowo promowowani doktorowie i poczęło się zanosić na większy rozruch w kościele, tem bardziej, że poeta Franciszek Karpiński, „chwytając się pewniejszej rzeczy“ — jak sam powiada w swoim pamiętniku — począł okładać protestującego złożonem berłem doktorskiem po głowie.

Był to, jak się łatwo domyśleć, dr. Jan Kanty Jankiewicz, który korzystając z ciszy podniesienia, zwyczajem

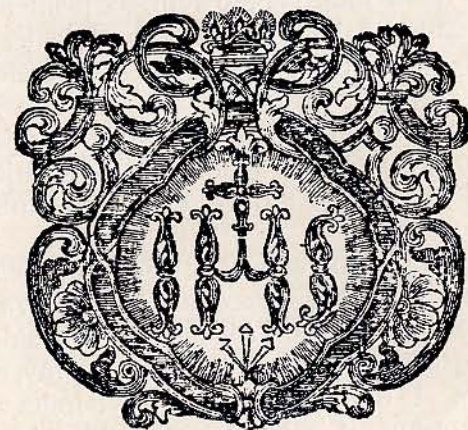
UNIVERSAE MATHESEOS PROPOSITIONES SELECTAE

Sub finem biennalis Cursus
Demonstratione publica

ILLUSTRATAE

In Aula Universitatis Leopoltanae
Societatis JESU

Anno INCARNATAE SAPIENTIAE MDCCLXV.



Superiorum permissu.

Ryc. 7. Karta tytułowa z programu nauk r. 1765 Akademii lwowskiej T. J.
(Ze zbiorów Archiwum m.).

sejmikowym krzyknął swoje „nie pozwalam!“ I za to też w srogiej się znalazł obecnie opresyi i kto wie, czy byłby z niej wyszedł z całym zdrowiem, gdyby nie stentorowym głosem wygłoszony rozkaz ks. Nuszczyńskiego: „wyprowadźcie go z kościoła!“ Jakoż wyprowadzono go natychmiast, on obawiając się dotkliwej zemsty studentów jezuickich, schronił się do samego Kollegium, gdzie go Jezuiti przytrzymali do wieczora.

Zajście to, niemiłe bardzo Jezuitom, nie wstrzymało jednak dalszego ciągu uroczystości. Dokończono spokojnie nabożeństwa i odśpiewano „*Te Deum*“ przy huku dział na Wysokim Zamku i z wałów miejskich, wśród grania trąb, kottów i salw muszkietowych. Strzelanina trwała przez całe popołudnie, a ulicami miasta przeciągała muzyka, której tony goryczą napępiały serca wszystkich przeciwników nowo otwartej Akademii.

Na wiadomość o uroczystości lwowskiej i zajściu z Jankiewiczem wzburzyła się, rzecz można bez przesady, cała Rzeczpospolita, dzieląc się na dwa obozy, walczące przeciw i za Akademią, tak słowem jak pismem, protestem, listami, osobistymi zabiegami i tysiącem kruczków procesowych. Literatura agitacyjna rosła w dziesiątki broszur, a przez cały rok 1760 drukarnia Jezuitów we Lwowie, teraz już akademicka, oraz drukarnie akademickie krakowska i zamojska prawie niczem innem nie były zajęte, jak tylko produkowaniem broszur ulotnych i drukowaniem manifestów pro i contra.

Literatura ta, cytowana w całości z bibliografii Estreichera, zebrana pokrótce przez ks. Stanisława Załęskiego, skrzętnego, acz niechętnego Akademii lwowskiej historyka zabiegów jezuickich, literatura ta, powtarzamy, dziwnie jest sucha, jałowa i dla dzisiejszego czytelnika niestrawna. Wszystkie te „Dyskursy“, „Responsy“, „Objaśnienia prawdy“, „Oświadczenia sprawiedliwości“, „Listy przyjacielskie“, „Attentata“, „Informacje krótkie“ robią dzisiaj wrażenie maniactwa, kręcącego się w kółku tych samych argumentów, zaciemnianych do tego ostatecznie kazuistyką prawną, cytatami przeróżnych kodeksów, praw i konstytucyi. Wyszuszony mózg współczesnych prawników dzielił sobie i porządkował argumenta za i przeciw, dodając do każdego

komentarze, objaśnienia, wywody, które stwarzają chaos nie do przebycia, labirynt procesowy, w którym umysł prosty i logiczny zgubić się musi koniecznie, a wyznać się potrafił tylko zawodowy pieniacz czasów ówczesnych. Jeszcze najdowcipniej i najjaśniej przedstawił sprawę sztycharz zamojski, Franciszek Siarczyński, który w jednej z broszur obrazowo przedstawił, jak z Akademii we Lwowie padają bomby na dwie strony, w stronę Krakowa i Zamościa.

I pisma te sypały się przez cały rok 1760, nieustannie spadając rozżarzonemi kroplami na mózgi szlacheckie i tak już do wszelakiego pieniactwa skłonne. Dzieliła się tedy szlachta na zwolenników i przeciwników Akademii lwowskiej, chodziła do grodów i wносиła protesty i reprotestacye za i przeciw Akademii. Do dawniejszych protestów przeciw Akademii przybywały obecnie protesty wielu innych województw, ziem i powiatów, a równocześnie za Jezuitami zamanifestowała szlachta wołyńska w grodzie krzemienieckim, szlachta biecka, sanocka i t. p.

Jednogłośnie zmobilizowały się jednak przeciw Jezuitom kapituły i wyższe duchowieństwo świeckie. Protestowały więc kapituła lwowska, chełmska, poznańska, gnieźnieńska, łucka i przemyska, dalej Akademia krakowska i zamojska, oraz ich rektorowie osobno, szkoła katedralna lwowska, jako kolonia Akademii krakowskiej, a wreszcie stanął przeciwko Jezuitom cały polski episkopat, z wyjątkiem jednego tylko jedyne go arcybiskupa lwowskiego, Sierakowskiego, który otwarcie pisał do prymasa Łubieńskiego: „Bardzo tego żałuję, że JOWMX Akademię lwowską zwalczasz, której sądzę dawałbyś wszelką protekcyę i asystencyę, gdybyś był dotąd arcybiskupem lwowskim. Zaczem miej mnie JOWMX za wymówionego, aplikuję, że będąc arcybiskupem lwowskim nie mogę ganić Akademii lwowskiej, nie mogę jej nie dawać protekcyi, póki król i Ojciec św. nie są innego zdania“. Na powtórne zaś naleganie prymasa odparł arcybiskup Sierakowski stanowczo: „Już więc do siebie nie piszmy, bo widzę, że się nawzajem namówić i jeden ku drugiemu zdaniu pociągnąć nie możemy“.

Wszystkie te manifesty i protestacye przyjmowali Jezuiti z najzimniejszą krwią, a nawet jakby wprost wy-

zywali opinię publiczną, pisząc w jednej broszurze: „Choćby Ichmość Akademicy wszystkie grody i konsystorze napełnili swoimi manifestami, dla tych OO. Jezuici zapewne nie zamkną raz otwartej akademii“.

Jakoż nie zamykali jej, lecz przez cztery z rzędu lata odbywali co rocznie uroczyste promocyje i zażywali *via facti* wszelkich praw i prerogatyw akademickich. Widząc zaś, że protesty w grodach nie odnoszą żadnego skutku, związały się wszystkie niemal kapitały w Koronie w związek t. zw. „Filadelfia“, do której przystąpiły także województwa krakowskie, wołyńskie, czernichowskie, księstwo oświęcimskie i zatorskie, oraz ziemia lwowska. Związek ten użył najdotkliwszej dla Jezuitów broni, bo bojkotu w tej formie, że kapituły oświadczyły „jako stopni akademickich, nadanych przez wrzekomą akademię nie uznają, a promowanych w niej doktorów i magistrów do pratur, kanonii i godności kościelnych nie dopuszczają“.

Bojkot ten w jedynym tylko wypadku i to w kapitule gnieźnieńskiej znalazł swoje połowiczne, co prawda, zastosowanie, a tymczasem cała sprawa przyszła przed sądy asesorskie.

Rozprawa rozpoczęła się dnia 10. lipca 1761 i trwała pełnych dni czternaście, wśród roznamiętnienia ze stron obu, dochodzącego do ostateczności. O jej poziomie, a zarazem współczesnych zapatrywaniach na potrzebę rozszerzania oświaty, świadczy przemówienie rektora Akademii zamojskiej, który narzekając na nadmierną ilość szkół wołał: „W ciżbie już nauczycieli mieszkamy, po uczniów docisnąć się trudno, jeszcze nowych doktorów i nauczycieli potrzeba, chyba na to, aby dawnych świeckich do końca przytłumić!“

Nie tyle jednak stanowisko Akademii krakowskiej i zamojskiej i ich argumenty ważyły na szali, ile to znane nam już fanatyczne przywiązanie do pamiątek dawnej świetnej przeszłości, oraz duch czasu buntujący się coraz wyraźniej przeciw zakonowi Jezuitów. Walka toczyła się już nie przeciwko samej Akademii lwowskiej, ale przeciwko staremu systemowi wychowania publicznego, którego głównymi reprezentantami byli Jezuici. Na całym Zachodzie reakcja przeciwko Jezuitom była już w całej pełni,

już przygotowywał się grunt do zniesienia ich Zakonu, a i w Polsce idee te poczęły przenikać warstwy oświecone, a oczy wszystkich poczęły się zwracać na wielkiego reformatora wychowania, ks. Stanisława Konarskiego i na Zakon pijarski, którego on był duszą.

To też nie dziwnego, że sprawa Jezuitów na sądach asesorskich uwiła już na włosku, że podobno przygotowany był dekret odsyłający całą sprawę na sejm z równoczesnym nakazem zamknięcia otwartej dopiero co Akademii. Przyjaciołom Jezuitów udało się jednakowoż raz jeszcze postawić na swoim, o tyle przynajmniej, że przeфорsowano dekret w danych warunkach dla nich najpomyślniejszy, to jest odsyłający całą sprawę na sądy relacyjne, którym przewodniczył sam król, stale Jezuitom przychylny.



Ryc. 8. Grzegorz Piramowicz, uczeń i profesor Akademii lwowskiej T. J.

Ale Augustowi III. zatroskanemu innemi sprawami, nie spieszyło się wcale z załatwieniem sporu o Akademię lwowską, nie nalegali też na pospiech i sami Jezuici, licząc na to, że z czasem namiętności się uspokoją, a społeczeństwo szlacheckie pogodzi się z faktem dokonany. Spór więc „wisiał“ sobie spokojnie w sądach relacyjnych, a tymczasem dnia 5. października 1763 roku August III. umarł w Dreźnie.

Na sejmie konwokacyjnym Stanisława Augusta zapadła konstytucja zatwierdzająca przywileje Akademii krakowskiej, zamojskiej i wileńskiej. O lwowskiej Akademii

nie było żadnej wzmianki, co oczywiście jego przeciwników wielką napoiło radością, choć z drugiej strony Jezuici słusznie powoływać się mogli na fakt, że Akademia lwowska z powodu wiszącego o nią jeszcze sporu nie mogła być zatwierdzona, a z drugiej znowu strony wielki dla nich argument stanowiła druga konstytucja tegoż samego sejmu: „przywileje i konsensa od króla świeżo zmarłego, aby *in suo robore et valore* zostawały mieć chcemy“.



Ryc. 9. Ignacy Krasicki, biskup warmiński, uczeń Akademii lwowskiej T. J.

daną zmianie, ludzie lwowską szkołę akademicką uważali powszechnie za akademię, za taką też uznał ją i ks. Hugo Kołłątaj.

Żaden formalny dekret sądu, sejmu czy króla nie odebrał też szkole lwowskiej tytułu akademii. Używała go ona wszędzie i zawsze, tak w czasie uroczystych wystąpień jak i na drukach wychodzących z jej oficyny, w mowie potocznej i w opinii publicznej.

Spór uwiśł raz na zawsze, nigdy już nie wznawiany, ani nie rozstrzygnięty.

Po nowym królu Stanisławie Augustie Jezuici dla siebie niczego spodziewać się nie mogli, znając jego wolnomyślność i sprzyjanie Pijarom. Dlatego też woleli nie wznawiać sprawy przed sądami relacyjnymi i zostawili wszystko w zawieszeniu. Co prawda, przestały się równocześnie odbywać promocyje doktorskie, ale równocześnie akademicki plan nauk nie uległ żad-

I taki stan dotrwał aż do pierwszego rozbioru Polski i kasaty zakonu Jezuitów w r. 1773.

Cokolwiekby ze stanowiska praw i konstytucji polskich powiedzieć można o ważności założenia i trwania tej Akademii, to przyznać trzeba jej przynajmniej jedno. Nieprzerwane istnienie faktyczne od r. 1661 i to jeszcze, że istnienie jej ugruntowane było wolą królewską, nigdy, jak już po kilkakroć wspomnieliśmy, nie odwołaną ani aktami o dostatecznej mocy prawnej zniesioną.

Tytuł to dostateczny, aby ze stanowiska dzisiejszego uznać szkołę lwowską za to, czem była faktycznie: najwyższą uczelnią w tej dzielnicy Polski, strażnicą, najdalej na wschód wysuniętą placówką zachodniej kultury i cywilizacji. Teraźniejszość nie ma potrzeby i obowiązku stawiać na stanowisku procesowem ani uzna-



Ryc. 10. Franciszek Karpiński, poeta, uczeń Akademii lwowskiej T. J.

wać argumentów prawnych, jakie wytaczano współcześnie przeciw Akademii lwowskiej, ani wreszcie uwzględniać tej scholastycznej kazuistyki, jaką przeciw nowej szkole szermowało proste i poziome pragnienie chleba zubożałych i przez Rzeczpospolitą zaniedbanych mistrzów krakowskich.

Dla pokolenia dzisiejszego musi wystarczyć fakt, że były usiłowania stworzenia uniwersytetu we Lwowie, że te usiłowania uwieńczone zostały bardziej faktycznym, niż formalno-prawnym rezultatem, że chociaż ani sejmy, ani sądy, ani grody nie wypowiedziały nigdy stanowczego za-

twierdzenia, ani też zakazu, to samo społeczeństwo przyzwyczało się uważać szkołę lwowską za akademię, a Akademia stała się faktycznie tem, czem każda akademія być powinna, rodzicielką talentów, ogniskiem nauki i oświaty, wychowawczynią pokoleń.

Uczniów poczet długi, bardzo długi ma za sobą Akademia lwowska i profesorów, siewców ziarna mądrości takich posiada, których sława poszła daleko za furtę zakonną.

Wymienić tu należy ks. Tadeusza Krusińskiego, słynnego na całą Europę orientalistę, który w latach 1739—1740 był prokuratorem Kollegium lwowskiego i którego dzieła drukowane były we Lwowie. Chlubą lwowskiej szkoły jest również Kasper Niesiecki, niezmordowany historyk szlachty polskiej i autor wydrukowanego we Lwowie „Herbarza“, a jej największą ozdobą Grzegorz Piramowicz, uczeń, a potem profesor szkoły lwowskiej u samego schyłku jej istnienia. Wykładał tu bowiem od r. 1770 filozofię, aż do chwili, gdy kasata Zakonu rzuciła go na szerokie, ogólnonarodowe pole pracy publicznej i wychowawczej.

Również wśród uczniów tej lwowskiej Akademii znajdujemy nazwiska znane całej Polsce. Był uczniem lwowskich Jezuitów Jan Stanisław Jabłonowski, statysta i polityk, ten, co w dziele „Skrupuł bez skrupułu“, wskazywał jasno i otwarcie przyczyny upadku Polski. Uczył się tutaj Ignacy Krasicki, stopień doktorski otrzymał Franciszek Karpiński, a już te imiona same wystarczają, aby zrehabilitować do pewnego stopnia złą sławę uczniów jezuickich, jaką mieli w opinii współczesnej jako sprawcy rozruchów i niepokoїв w mieście.

IV.

UNIwersytet JÓZEFiński.

SPADEK PO JEZUITACH. CORPORA UNIwersYTECKIE. FUNDACYA JÓZEFińska. PIERWSZY SENAT AKADEMICKI. INAUGURACYA. BUDYNEK. PROFESOROWIE. JĘZYK WYKŁADOWY. ZMIERZCH UNIwersYTETU. LICEUM LWOWSKIE.

Po Jezuitach otrzymał rząd austriacki kompletną szkołę wyższą z gmachem i wszystkimi urządzeniami, z biblioteką, która pierwszym radcom gubernialnym bardzo imponowała, z obserwatorium astronomicznem, pomieszczonem w baszcie furty Jezuickiej, ze zbiorami naukowymi, a nawet z notaryuszem czyli sekretarzem Akademii Tomaszem Augustynowiczem, który u Jezuitów prowadził kancelaryę akademicką, wpisywał słuchaczy w album, odbierał od nich ślubowanie etc.

Ale zakład ten od dnia 28. września 1773 był cichy i opustoszał. Uczniowie rozbiegli się na wszystkie strony, profesorów bezpośrednio po kasacie wyprowadzono z gmachu i nie pozwolono doń więcej powrócić. Pustka zaległa sale szkolne, a przerywało ją jedynie od czasu do czasu urzędowanie komisji, spisującej inwentarz pojezuicki i szacującej pozostały majątek.

Ale cisza i pustka nie mogły trwać długo: szkół zajętej prowincji było potrzeba, może nawet więcej niż gdziekolwiek w dziedzicznych krajach austriackich, bo jeżeli nawet o oświatę i naukę nie chodziło, to kwestya i potrzeba wykształcenia urzędników w nowej prowincji nadto była piekąca.

Właśnie wtenczas skutkiem kasaty zakonu Jezuitów i pod wpływem zapatrywań współczesnych przeobrażało się z gruntu szkolnictwo w dziedzicznych krajach austriackich, tworzyły się podstawy i zasady, które na długie lata, bo aż do r. 1848 spętały wychowanie publiczne. Dla tych

zaś zasad Galicya przedstawiała najwdzięczniejsze pole doświadczałne i tu też mogły być one od razu, bez względu na poprzednie stosunki wprowadzone.

Zaraz też po zaborze kraju poczęła w umyśle cesarzowej Maryi Teresy kielkować myśl założenia we Lwowie uniwersytetu, na wzór dopiero co zreformowanych uniwersytetów austriackich, a w szczególności wiedeńskiego. Tak w archiwum Namiestnictwa, jak i w literaturze drukowanej znajdują się ślady, że już w r. 1774 i 1775 sprawa założenia uniwersytetu w Galicyi była bardzo żywo badana i stanowiła przedmiot ciągłej wymiany zdań między galicyjskiem gubernium a najwyższą magistraturą szkolną w Austrii, t. z. *Studienhofkommission*. Zastanawiano się, czy przyszły uniwersytet stanąć ma we Lwowie, czy też w którymś z miast prowincjonalnych, n. p. w Przemyślu, rozpatrywano, o ile zasoby dawniejszej Akademii lwowskiej użyte być mogą na rzecz przyszłego uniwersytetu, a równocześnie czyniąc zadość najkonieczniejszym potrzebom, powoływano do życia poszczególne studia o zakresie akademickim.

Tak w r. 1773 powstało *collegium medicum*, dla wykształcenia pewnej liczby chirurgów i akuserek, nieco później otwarto kursa nauk filozoficznych i prawnych, w r. 1776 zreformowano i otwarto studium teologiczne.

Tym sposobem — jak powiada prof. dr. Finkel w swojej Historii Uniwersytetu lwowskiego — składało się powoli z luźnych części całe studium uniwersyteckie we Lwowie.

A składało się z rozbitych części dawnej Akademii jezuickiej, stanowiąc niejako dalszy jej ciąg, wznosząc się na tem samem miejscu, choć w tak bardzo zmienionych warunkach i ożywcze soki czerpiąc z zasobów przez wiek cały spełna przez Jezuitów gromadzonych. Przychodzili tylko z daleka ludzie inni i zgoła nowy duch wiał z katedr szkolnych. Więc na pierwszym piętrze dawnej Akademii odbywały się wykłady filozoficzne, była sala fizyki, logiki, matematyki i mechaniki, warsztat stolarza i ślusarza, dodany katedrze mechaniki i jedna sala teologiczna. Na drugim piętrze mieściła się druga sala teologiczna, sale prawnicze i skład fizycznych przyrządów. W budynku też pozostała dawna jezuicka biblioteka, pomnożona zbiorami

zniesionych klasztorów, a ponadto znalazło się dość miejsca na prywatne mieszkania profesorów. Słowem był to już zupełny zakład naukowy, któremu brakło tylko nazwy akademii.

Jest rzeczą bardzo chlubną dla dawnej, jezuickiej Akademii lwowskiej, że jej biblioteka, ta prawdziwa podstawa każdego uniwersytetu, wzbudziła prawdziwy podziw u nowych i zgoła innym duchem prześlakniętych jej panów. Referenci gubernialni w sprawozdaniach wysyłanych do Wiednia stwierdzali, że jest to księgozbiór piękny, dobrze założony, który dla przyszłego, założyć się mającego uniwersytetu stać się może bardzo użytecznym.

Na nowe, z gorączkowym pospiechem wznoszące się dzieło patrzył z troską wielką jedyny wśród episkopatu polskiego przyjaciel Akademii jezuickiej, arcybiskup lwowski, ks. Wacław Hieronim Sierakowski. Patrzył z troską, powiadamy, bo jego, do niedawna jeszcze dzierzącego berło oświaty w Polsce, wcale nie pytano o radę, nie zasięgano jego opinii, a nowi ludzie, tacy jak abbé Liesganig i inni, wcale nie dawali gwarancyi, że nauka pójdzie torem takich surowych zasad katolickich, jakich niezłomnym wyznawcą był arcybiskup.

To też z własnej woli i przez nikogo nie wzywany przedstawił Sierakowski rządowi austriackiemu, że nowy zakład naukowy opierać się powinien na fundamencie dawnej Akademii, która już od stu lat we Lwowie istniała. Na dowód tego przedłożył przywilej uniwersytecki Jana Kazimierza z r. 1661, zatwierdzenie króla Augusta III. i bullę Klemensa XIV. Dla wielu radców gubernialnych było to zdaje się prawdziwe odkrycie, więc zainteresowali się bardzo dokumentami i donieśli o nich istnieniu do Wiednia. Zainteresowała się też nimi najwyższa *Studienhofkommission* i osobnym reskryptem kazała je sobie przysłać do Wiednia. Gubernium galicyjskie uczyniło zadość temu żądaniu.

Nie wiemy wprawdzie, jakie były dalsze losy tych dokumentów, jakie studia przeprowadzono, jakie z nich wnioski wyciągnięto. Prawdopodobnie spotkało je to samo przeznaczenie, co setki dyplomów królewskich, które, o ile się nie odnosiły do fiskalnych pretensyi rządu, pakowano bez ceremonii *ad acta*. W tym wypadku zresztą sama ka-

sata Jezuitów odbierała im praktyczne znaczenie, ale w każdym razie, być może, że obok innych „politycznych“ względów zadecydowały i one o tem, że przyszły uniwersytet stanął we Lwowie.

Śmierć nie pozwoliła cesarzowej Maryi Teresie doprowadzić do skutku dzieła założenia Uniwersytetu lwowskiego. Myśl jednak na pół już dojrzałą i przygotowaną podjął jej syn i następca cesarz Józef II. i przeprowadził ze zwykłą u siebie energią, pospiechem i doktrynerstwem. Sam wgłądał w najmniejsze nawet szczegóły, sam kierował wyborem grona profesorskiego, sam wreszcie wybrał klasztor potrynitański przy ul. Krakowskiej na pomieszczenie siedziby nauki. Na rozkaz cesarski zjeżdżali do Lwowa pospiesznie profesorowie, przerabiano gmach na cele szkolne, określono stan personalny i płace profesorów, wygotowano dyplom fundacyjny i instrukcyje dla rektora, dziekanów i dyrektorów studyów, zarazem dla seniorów fakultetów, dla syndyka i notaryusza, dla kancelisty i pedela.

W dniu 21. października 1784 podpisał Józef II. dyplom fundacyjny, który po raz pierwszy wogóle przy zakładaniu uniwersytetów nie podano do zatwierdzenia papieskiego i Uniwersytet józefiński rozpoczął swoje istnienie.

W dyplomie fundacyjnym, zredagowanym w języku niemieckim, oświadcza cesarz Józef II., że jest jego wola, aby istniejące już we Lwowie i w przyszłości zaprowadzić się mające instytuty naukowe utworzyły razem pełny uniwersytet, złożony z czterech wydziałów i całego gimnazjum, na równi z innymi uniwersytetami w państwie i pod najwyższem zwierzchnictwem politycznej władzy krajowej. Uniwersytet ten będzie miał prawo nadawania stopni akademickich, prawo wyboru z roku na rok rektora (*rector magnificus*). Dla utrzymania porządku i nadzoru ustanowił cesarz senat akademicki, mający się składać z rektora, czterech dziekanów, będących równocześnie dyrektorami studyów i czterech seniorów fakultetów. Lwią część dyplomu zajmuje opis pieczęci uniwersyteckich, i to tak rektorskiej, jak i czterech dziekanatów.

Na podstawie tego dyplomu odbyły się przedewszystkiem wybory dygnitarzy uniwersyteckich. Pierwszym re-

ktorem został ks. Wacław Betański, biskup przemyski, Czech z rodu, niegdyś sekretarz hetmana Branickiego, obe-



Ryc. 11. Wacław Betański, biskup przemyski. Pierwszy rektor Uniwersytetu lwowskiego.
(Według sztuchu Prixnera ze zbiorów Archiwum m.).

enie całą duszą oddany reformatorskim dążeniom cesarza Józefa II., którego był „złym duchem“, jak powiadano. On

dobierał głównie profesorów, nie szczędził osobistych nawet wydatków na Uniwersytet lwowski i za to głównie spotkała go godność rektora, którą, przebywając stale w Przemyślu, sprawował więcej tytułarnie. Ale on tchnął ducha w całe ciało uniwersyteckie, ducha bezwzględnie państwowego, nacechowanego temi wszystkimi doktrynami, które ożywiały umysł cesarza Józefa II.

Dziekanem wydziału filozoficznego został profesor fizyki Ignacy Józef Martinovics, Kroat z pochodzenia, gorący węgierski patriota z przekonania, w ukryciu rewolucjonista o pokroju jakobińskim, człowiek niesłychanie zdolny, ambitny, ale przytem niezrównoważony. Zdecydowanym ateistą i politycznym fanatykiem nazywali go koledzy uniwersyteccy we Lwowie. A ten polityczny fanatyzm zaprowadził później pierwszego dziekana fakultetu filozoficznego na szafot. Martinovics ścięty został przed zamkiem budzińskim dnia 21. maja 1795 roku.

Niemniej ciekawą była postać pierwszego dziekana wydziału teologicznego, Jana Baptysty Finsigera. Był on prawą ręką i zastępcą ks. Betańskiego, rządowi oddany sercem i duszą, skrzętny wykonawca zasad józefińskich, nie uznający żadnej powagi duchownej, a w szczególności arcybiskupa lwowskiego Kickiego.

Na wydziale prawnym dziekanem obrany został Antoni Pflieger, profesor prawa natury, pochodzący z Krainy, umysł jasny, systematyczny, stojący na wysokości współczesnej nauki, na wydziale medycznym wreszcie prof. Burchard Swibert Schiverek, Westfalczyk z pochodzenia, były dziekan i rektor zniesionego Uniwersytetu insbruckiego.

Natychmiast po dokonaniu wyborów i jakim takim przyspobieniu gmachu potrynitarzkiego do celów szkolnych, odbył się dnia 16. listopada 1784 uroczysty akt inauguracji nowego uniwersytetu. Sama uroczystość odbyła się w sali bibliotecznej, przerobionej na prędcę z nawy kościoła Trynitarzy, a obecnie przyozdobionej adamaszkowemi kotarami, portretem Józefa II. i malowidłami, przedstawiającymi odznaki uniwersyteckie nadane dyplomem fundacyjnym. Na stole, obok fotelu komisarza i zastępcy cesarskiego złożono insygnia, cztery srebrne berła dziekańskie, dyplom, pieczęć i klucze uniwersyteckie.

Okolo rektora ks. Betańskiego, przybranego w płaszcz gronostajowy, zgromadzili się dziekani w harcophach, w płaszczach ubramowanych od dołu złotą bordą, o dużych kołnierzach atlasowych koloru ponsowego, fioletowego, karmazynowego i czarnego, stosownie do wydziału, który reprezentowali. W ławkach usiedli profesorowie, najwyżsi urzędnicy, generałowie, a wzdłuż ulicy Krakowskiej wojsko w dwu szpalerach utrzymywało porządek.

Wjeżdżającego sześciokonną karetą komisarza cesarskiego, którym był gubernator Galicyi hr. Brigido, powitali u wejścia rektor krótką przemową, a wojsko salwą z muszketów.

Uroczystość rozpoczęła się od przemówienia gubernatora, na które odpowiedział rektor. Następnie dziekan wydziału teologicznego ks. Jan Finsiger wygłosił po łacinie traktat o związku i wzajemnem oddziaływaniu na siebie nauk i rządów.

Po wykładzie uformował się pochód, który ruszył do kościoła jezuickiego na uroczyste nabożeństwo. Przodem postępowali urzędnicy magistratu, dalej bedele z berłami, profesorowie, syndyk z dyplomem fundacyjnym w rękach, dwaj akademicy szlacheckiego pochodzenia z pieczęciami i kluczami na poduszkach, czterej dziekani, rektor, hr. Brigido, za którym barwny tłum gości. Oddział piechoty zamykał pochód.

Nabożeństwo trwało dwie godziny, a w czasie *Te Deum* wojsko oddało trzy strzały, przy równoczesnym huku armat z wałów miejskich. Wieczorem odbyła się iluminacya miasta, bankiet u gubernatora i przedstawienie w teatrze niemieckim, w drewnianej szopie za dawną furta Jezuicką.

Kilka wierszy ulotnych, medal pamiątkowy z popiersiem Józefa II. i symbolem mądrości: sową, upamiętniły uroczystość, mowy zaś wygłoszone w czasie inauguracji zostały wydrukowane w osobnej broszurze.

Jak już wspomnieliśmy wyżej, mieścił się Uniwersytet w dawnym, na prędcę przerobionym klasztorze trynitarzskim, przylegającym do kościoła Trynitarzy (dziś cerkiew św. Ducha). Budynek niekształtny, ponury nieco, od ulicy Krakowskiej w głąb cofnięty, zrobił dziś miejsce „Naro-

dnemu domowi“, a wówczas nie przypominał wcale siedziby muz. Cele klasztorne, złączone po kilka razem, stanowiły sale wykładowe. W parterze wilgotnym i ciemnym mieściły się mieszkania służby, laboratoria medyczne i chemiczne, sala sekcyjna i *teatrum* anatomiczne. Na pierwszym piętrze były prywatne mieszkania profesorów, oraz 20 sal wykładowych, gabinet historii naturalnej i kancelarya uniwersytetu i sala posiedzeń senatu, na drugim wreszcie pię-



Ryc. 12. Medal i geton na pamiątkę otwarcia Uniwersytetu w r. 1784.
(Własność p. R. Męckiego).

trze gimnazjum, sale wykładowe prawnicze, laboratorium fizyczne i t. d.

W godzinach szkolnych gmach ten przedstawiał widok nader ożywiony. Młodzież od najniższych klas gimnazjalnych począwszy wypełniała ciasne i ciemne sale. Wśród akademików wielka część w stroju duchownym, lub różnego rodzaju habitach zakonnych. Nie wszyscy mieścili się w salach, więc tłumy studentów wypełniały korytarze, a o utrzymaniu jakiejś karności czy powagi naukowej nie

mogło być nawet mowy. Uczniowie pochodzili przeważnie ze sfer drobnej szlachty, urzędników i księży ruskich, choć nie brak było i nazwisk bardzo arystokratycznych. Wobec naukowych planów i nakazanego traktowania nauki ściśle według oznaczonych podręczników nie mogły się rozwijać wybitniejsze zdolności. Ale w życiu praktycznym obejmowali z czasem studenci Uniwersytetu józefińskiego najznakomitsze stanowiska, a niektórych nazwiska otoczone były w społeczeństwie zasłużoną powagą.

Natomiast grono profesorskie Uniwersytetu józefińskiego w epoce 21 letniego jego istnienia przedstawiało obraz iście niezwykły. „Okręt wiozący poszukiwaczy złota do Nowego Świata — powiada dr. L. Finkel — nie liczył większej liczby awanturniczych, dziwnych egzystencji, którym nie brakło zdolności nawet niepospolitych i błyszczących, ale nie dostawało tegości charakteru i miłości zawodu swego, bez których praca nauczycielska jest marną i bezowocną“. Na innem znowu miejscu powiada tenże sam autor: „Był zaś ten świat profesorski, razem z wyższym urzędniczym, kolonią dla siebie, zamkniętą w własnem gronie, odgranieczoną językiem i zwyczajami, błyszczącą światłem nauki w kraju, gdzie jej od wieku nie dostawało, ale światłem bez ciepła, bez promieni ożywczych, któreby zdolne były na tej ziemi obudzić ruch myśli i zapłodnić ją ziarnem owocnem. Przywozili ze sobą ideały sprzeczne z rozwojem narodu, z jego chęciami i dążeniami, z całym dotychczasowem życiem. Józefinizm i jego eksperymenta przeciwko przesądom nie mogły podobać się narodowi, którego cała przeszłość oddychała czią dla wiary i dla kościoła. Chociażby zatem nie było innego rozdźwięku — ten jeden starczył, aby między społeczeństwem a pionierami nowego kierunku wykopać głęboki przedział, przez który trudno było rzucić pomost. Jeżeli zatem pracowali i we Lwowie drukowali niektóre książki, nie pracowali dla społeczeństwa, wśród którego im przyszło działać z katedry, ale myślą i uczuciem zwróceni ku innym dalekim krajom i stosunkom, pragnęli być czytany przedewszystkiem nad Dunajem lub w Niemczech. Historia tego koła mężów nauki i literatury odgrywa się dla siebie; żyje ono sokami

z daleka i swoje siły śle w dal: łączy i wiąże się raczej z ruchem umysłowym we Wiedniu, niż we Lwowie“.

Przedewszystkiem było to zbiorowisko ludzi o romantycznej, nieraz bardzo awanturniczej przeszłości. Wielu z nich rzuciło w tych czasach rozluźnionej karności kościelnej sukienkę duchowną, jak n. p. Uhlich, ksiądz i zakonnik, należący do najzażartszych racjonalistów, lub profesor na wydziale teologicznym ks. Innocenty Fessler, ekskapucyn, którego życie przedstawia jakby epizod baśni z tysiąca i jednej nocy. Do takich prawie że powieściowych

typów należy sam dziekan wydziału teologicznego Jan Baptysta Finsiger, ks. Józef Rotter, „wielbiciel kobiet“, lekkomyślny, nieporadny, wiecznie opędzający się wierzytelom Ludwik Zehmark, zgryźliwy Schiverek, „sześć pruskich stóp wysokości“ bibliotekarz Brettschneyder, awanturnik, o życiu pełnem niezwykłych przygód i sam wreszcie Baltazar Hacquet, najzdolniejszy z nich wszystkich, uczony wcale nie przeciętnej miary, pozwa-



Ryc. 13. Baltazar Hacquet, profesor Uniw. lw.

lajający sobie na niestosowne uwagi w pismach wysyłanych do gubernium i zasługujący ze względu na swoje dzieła, odnoszące się do krajoznawstwa Galicyi, na obszerniejszą wzmiankę. Bretończyk z rodu, wykształcony we Francyi, służył jako lekarz wojskowy w armii austriackiej podczas siedmioletniej wojny. W r. 1762 został starszym chirurgiem szpitala wojskowego w Pradze, potem profesorem Akademii w Lublinie, skąd w r. 1787 przeniesiony został do Lwowa jako profesor historii naturalnej dla medyków. Niezadowolony z świata i ludzi, przesiąkł nienawiścią do

wszystkiego, stąd sądy jego stały się bezwzględne i gryzące i wśród wielu trafnych, podyktowanych uczuciem prawego weredyka, inne niesprawiedliwe, nieraz oburzające. Ale zato on pierwszy opisał umiejętnie, wedle ówczesnych wymagań nauki, sporą połać kraju naszego pod względem fizycznej jego natury, w czterotomowym dziele p. t. „Hacquets Neueste physicalisch-politische Reisen“, a stoi pod tym względem na wysokości Staszica, z którym ma wiele także w charakterze podobieństwa.

Drugą kategorię profesorów Uniwersytetu józefińskiego stanowili ludzie bardziej zrównoważeni, spokojni, nieraz bardzo dobrzy pedagogowie, ale z wyższą nauką niewiele wspólnego mający, którzy traktowali swoje posłannictwo jako chleb dające zajęcie. Wśród nich najsympatyczniejszym był Wacław Hahn, profesor literatury, choćby dlatego, że rychło przyswoił sobie język polski i wrósł w społeczeństwo, wśród którego mu pracować przyszło.

Językiem wykładowym Uniwersytetu józefińskiego był język łaciński. Rozumiało się to w owych czasach samo przez się w całej Austrii, a w Galicyi było rzeczą konieczną, nawet mimo najdalej idących zakusów germanizacyjnych. Do tego bowiem stopnia nikt tutaj języka niemieckiego nie rozumiał, że profesor języka tego i literatury, Wincenty Umlauf, obok obowiązkowo słuchających go alumnów nie miał ani jednego słuchacza świeckiego, skutkiem czego katedra musiała być zwinięta i aż do roku 1852 nie było na lwowskim Uniwersytecie niemieckiej katedry.

Poza obowiązkową na wszystkich katedrach łaciną widział się rząd zmuszonym poczynić na wydziale teologicznym pewne ustępstwa prowizoryczne na rzecz języka krajowego, nie zdając sobie ostatecznie ściśle sprawy z różnicy między językiem ruskim a polskim. Chodziło mianowicie o wykształcenie odpowiedniej liczby duchowieństwa ruskiego. Ponieważ, wobec niskiego stanu oświaty wśród Rusinów, trudno było znaleźć kandydatów, którzy byliby dość przygotowani do słuchania wykładów teologicznych w języku łacińskim, przeto rząd założył w r. 1767 prowizoryczny instytut z językiem wykładowym ruskim, który dotrwał aż do roku 1804. Przez instytut ten przesunęły się najwybitniejsze postacie współczesnej Rusi, ale językiem

wykładowym pozostał na życzenie samychże Rusinów język... polski. Po polsku wykladał tu przeważnie ks. Harsiewicz, przyszły metropolita ks. Angełłowicz, Mikołaj Skorodzyński, Arseniusz Radkiewicz, ks. Modest Hryniewiecki. Jeden tylko ks. Lodyj wykladał po rosyjsku, mieszając małoruskie zwroty i wyrażenia, niektórzy zaś profesorowie używali języka starosłowiańskiego cerkiewnego.

Jakkolwiek cesarz Józef II. interesował się bardzo swoim dziełem, nie mógł jednakowoż zaszcześcić w zało-



Ryc. 14. Arcybiskup Ferdynand Kicki.
(Według portretu w katedrze lwowskiej).

Że śmiercią cesarza Józefa II. skończył się ten pierwszy okres dziejów Uniwersytetu lwowskiego. Powiał obecnie inny wiatr od góry i poczęło się powolne, ale stanowcze cofanie reform józefińskich.

We Lwowie rozpoczęło się od tego, że studium i fakultet teologiczny oddano pod nadzór i pod władzę arcybiskupa Ferdynanda Kickiego, do niedawna zupełnie wyłączonego od jakiegokolwiek ingerencji na teologiczne wychowanie alumnów. Równocześnie wprowadzono t. zw.

żony przez siebie uniwersytet ani ducha powagi, ani trwałości głoszonych przez siebie zasad. Uniwersytet józefiński był celem złośliwych pamfletów, z których najwięcej hałasu narobiły Krattera „Briefe über den itzigen Zustand von Galizien“, widownią ustawicznych sporów wśród grona profesorskiego, a sami profesorowie, jak trafnie zauważono, szukali kariery w walce z Kościołem, miasto pracować na niwie umiejętności.

konses (*consensus studiorum* — *Studienkonsess*) — kolegium złożone z reprezentantów gron profesorskich każdego fakultetu, każdego gimnazjum lub szkoły realnej, którego zadaniem było wyrażanie opinii i przedkładanie projektów ulepszeń w sprawach szkolnych. Z instytucji autonomicznej jednakże stał się konses władzą centralną i absolutną rządową i przez dziesięć lat swojego istnienia, t. j. do 1802 roku stał na czele całego szkolnictwa galicyjskiego, ukrócając do ostateczności i tak już szczupłą autonomię uniwersytecką.

Tymczasem pustki w skarbie z powodu olbrzymich wydatków na wojny napoleońskie dawały się mocno odczuwać i Uniwersytetowi lwowskiemu, a gdy do tego skutkiem trzeciego rozbioru Polski przypadła Austrii cała tak zwana Galicya zachodnia między Bugiem a Pilicą, razem z Krakowem i prastarą Akademią jagiellońską, poczęły się coraz częściej podnosić głosy, aby Uniwersytet lwowski zwinąć, a jego profesorami, środkami zasilić Akademię krakowską. Na razie w roku 1802 cesarz postanowił, że Uniwersytet we Lwowie ma i nadal pozostać, ale już najwyższym postanowieniem z dn. 9. sierpnia 1805 zarządzono przeniesienie Uniwersytetu lwowskiego do Krakowa.

Uniwersytet józefiński przestał istnieć.

Jego miejsce zajęło Liceum, wyższy zakład naukowy o wydziale filozoficznym, prawa, teologii i studium chirurgicznem zamiast wydziału medycznego. Różnił się ten zakład od uniwersytetu mniejszą ilością katedr, mniejszą liczbą lat studyów, niższymi płacami profesorów, a przede wszystkim tem, że Liceum nie miało prawa wyboru dziekanów i udzielania promocji doktorskich, przynajmniej na razie, bo już w r. 1806 pozwolił cesarz promować w Liceum doktorów teologii i filozofii, jak było w Akademii jezuickiej; prawnicy tylko i medycy musieli jeździć po doktoraty do Krakowa lub Wiednia.

Przez dwanaście lat swojego istnienia (1805—1817) zastępowało Liceum lwowskie uniwersytet i spełniało swoje zadanie w bardzo trudnych warunkach, jak tylko mogło najlepiej. Wojna, jej dalekie lub bliższe odgłosy mąciły spokój nauki, bankructwo finansów państwowych spowodowało zupełne zaniedbanie budynku szkolnego, który

przypominał raczej dom zajezdny niż szkołę i na którego dziedzińcu odbywały się egzekucye wojskowe i ciągnięcia loteryi liczbowej. Nawet berła srebrne poszczególnych oddziałów poszły do mennicy na zapłacenie kontrybucyi francuskiej.

Mimo to dzięki stopniowemu pomnażaniu i ulepszaniu sił profesorskich zakład rozwijał się stale. Z pośród profesorów odznaczali się zwłaszcza ks. Franciszek Ksawery Zacharyasiewicz, profesor teologii, wymowny kaznodzieja, mąż dla szkolnictwa galicyjskiego wielce zasłużony, Maksymilian Alojzy F ü g e r, profesor prawa natury i kryminalnego, dr. Józef Winiwarter prawa cywilnego, dr. Franciszek Somaruga prawa kościelnego, Antoni Rozbierski, który później rozwinął we Lwowie ożywioną działalność naukową na polu prawa, protomedyk Franciszek de Paula Neuhäuser i inni.

Również wzrastała stale frekwencya uczniów, których było nawet więcej, aniżeli na Uniwersytecie krakowskim. Rządy policyjne dawały się srodze we znaki młodzieży krewkiej, żywej i do ekscesów skłonnej. Stąd też wybuchły w r. 1807 w Liceum lwowskim rozruchy studenckie, których bezpośrednią przyczyną była ostra klasyfikacya przy egzaminach. Rozruchy te przybrały większe rozmiary, wobec których chwilowo okazała się bezsilną policya, która wkroczyła do gmachu, a zakończyły się długiem śledztwem i wykluczeniem ze wszystkich szkół monarchii czterech najwinniejszych studentów. Bezpośrednim skutkiem rozruchów był system szpiegowski, szukający zaufanych studentów i za ich pośrednictwem starający się zapanować nad ogółem młodzieży.

Mimo ducha reakcyi, który zaciężył nad całym szkolnictwem, młodzież tą na pierwszą wiadomość o zajęciu Galicyi przez wojska polskie w r. 1809 tłumnie pospieszyła do szeregów narodowych. Przeszło połowy studentów zabrakło w drugim półroczu 1809.

Traktat pokojowy w Schönbrunnie okroił znacznie obszar Galicyi na rzecz Księstwa Warszawskiego. Krakowska Akademia była już wtedy za granicą, jej profesorowie wracali napowrót do Lwowa, domagając się dawnych swych stanowisk, a Liceum siłą faktów stało się najwyż-

szym zakładem naukowym w zaborze austriackim. Skutkiem tego zwrócono nań większą uwagę, restytuowano cały szereg katedr i w związku z reformą studyów uniwersyteckich, zwłaszcza prawniczych, tworzono nowe katedry. Tak powstała między innymi we Lwowie od r. 1811 katedra prawa polskiego, która dotrwała do r. 1855. Pierwszym profesorem prawa polskiego, wykładanego na podstawie wydanego w Warszawie w r. 1788 podręcznika Ostrowskiego „Prawo cywilne narodu polskiego“, był Jan de Dobra Dobrzański, profesor prawa kościelnego i adwokat krajowy.

Po ukończeniu wojen napoleońskich, po kongresie wiedeńskim i z nastaniem na nowo uporządkowanych stosunków nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że zreorganizowane według nowych planów naukowych, wskazujące wielką żywotność i liczbę uczniów ponad 800, Liceum podniesione zostanie do rangi uniwersytetu, tem bardziej, że Akademia jagiellońska pozostała już na stałe przy Rzeczypospolitej krakowskiej.

i wprowadzenia studium języka polskiego z uwzględnieniem słowiańskich dyalektów i literatury polskiej, Krieg

V.

POWTÓRNA FUNDACYA.

ZMIANA NAZWY. ZŁY DUCH UNIwersYTETU. UNIVERSITAS FRANCISCEA. INAUGURACYA. PROFESOROWIE I UCZNIOWIE. ROK 1848. KATASTROFA. NOWE POMIESZCZENIE. NIEMCZYŻNA. WALKA O POLSKOŚĆ LWOWSKIEGO UNIwersYTETU. ŚWIĄTYNIA POLSKIEJ NAUKI.

„Była to właściwie tylko zmiana nazwy — ta powtórna fundacya Uniwersytetu: udekorowanie Liceum, które zresztą nie odbiegało daleko od dawniejszej Akademii józefińskiej, tytułem i nadanie mu prawa promocyi na wydziale prawnym; na filozofii bowiem i na teologii przysługiwało mu ono także w epoce przejściowej. Zresztą pozostało wszystko jak było: ciż sami ludzie, ten sam zakres nauki...”

Powtórny akt fundacyi Uniwersytetu lwowskiego, podpisany przez cesarza Franciszka I. we Wiedniu dnia 7. sierpnia 1817 roku, wyprzedziły dwuletnie korespondencye biurokratyczne najwyższych władz i urzędów, opinie, zapatrywania i projekty grona profesorskiego co do pomnożenia liczby katedr, powagi i znaczenia przyszłego uniwersytetu na zewnątrz. Ale główne podwaliny mu rzucił baron Krieg von Hochfelden, podówczas referent spraw uniwersyteckich, a później wiceprezydent i właściwy kierownik rządów Galicyi, zły duch tego kraju, przez współczesnych przeklęty, przez potomność ze zgrozą wpominany. On to Wszechnicy lwowskiej na długie lata nadał charakter niemiecki, przez wprowadzenie niemieckiego języka wykładowego. On też paraliżował usiłowania grona profesorskiego, które aczkolwiek obce krajowi, miało pełną świadomość tego, że Uniwersytet lwowski musi służyć interesom kraju i narodu. Podczas bowiem, gdy profesorowie domagali się uwzględnienia w nauce uniwersyteckiej historii polskiej



Ryc. 15. Cesarz Franciszek I., fundator Uniwersytetu w r. 1817.

wyteżył całą swoją bystrość umysłową na wyszukanie argumentów, celem usunięcia łacińskiego języka, a wprowadzenia wykładów w języku niemieckim.

Wówczas jednak, bezpośrednio po kongresie wiedeńskim, wobec wielkich nadziei, które naród polski przywiązywał do Królestwa Kongresowego i osoby Aleksandra I., próba wprowadzenia systemu germanizacyjnego nawet w umyśle Kriega musiała zrodzić pewne wahania i wątpliwości. Stąd też odnośny referat Kriega, przedstawiony radzie gubernialnej, zawiera następujący, niezmiernie charakterystyczny ustęp: „nie chodzi tu o wybór między polskim a niemieckim językiem, ale między łaciną a niemieczyną; nie mogą więc narodowcy uważać protegowania niemieckiego języka za szkodę dla polskiego. Ażeby zaś zupełnie usunąć mniemanie, że rząd pragnie wzniesić język niemiecki kosztem polskiego, powinnyby być ustanowioną na Uniwersytecie nadzwyczajna katedra języka polskiego i wstępu do polskiej i słowiańskiej literatur, któraby obudziła wielki interes“.

W zamian tedy za „nadzwyczajną“ katedrę języka polskiego żądał Krieg wprowadzenia niemieckiego języka wykładowego.

Pomysły i idee Kriega znalazły pełne uznanie we Wiedniu i stały się podstawą nowego Uniwersytetu, co do którego cesarz jeszcze przedtem zarządził, że ma się składać z trzech tylko wydziałów, bez wydziału medycznego, który zastąpić miało studium medyczno-chirurgiczne.

Po długich i drobiazgowych przygotowaniach wyszedł wreszcie dyplom powtórnej fundacji lwowskiego Uniwersytetu.

Podnosi w nim cesarz istniejące we Lwowie Liceum do godności uniwersytetu z trzema fakultetami pod przewodnictwem dyrektorów studyów. Uniwersytet ten zostaje zrównany z innymi uniwersytetami w państwie, poddany władzy politycznej i otrzymuje nazwę *Universitas Franciscæ* z prawem promowania doktorów filozofii, prawa i teologii. Fakultety te razem z profesorami studium medyczno-chirurgicznego mają prawo wybierać z pośród siebie co roku rektora (*rector magnificus*). Senat akademicki składa się z rektora, dyrektorów studyów, dyrektora studyów gimnazjalnych (gimnazjum bowiem „akademickie“, tak jak dawniej, ściśle było połączone z Uniwersytetem), trzech dziekanów i czterech seniorów, razem tedy z 13 osób. W se-

nacie uchwały zapadają większością głosów, a wykonuje je syndyk, kancelista i pedel. Kończy się dyplom szczegółowym opisem pieczęci, które z drobnymi zmianami są te same, co na Uniwersytecie józefińskim.

Inauguracja uroczysta nowego Uniwersytetu odbyła się dnia 4. listopada r. 1817 według programu takiego samego, jak w r. 1784. Pierwszym rektorem obrany został arcybiskup lwowski Andrzej Alojzy hr. Skarbek Ankiewicz, komisarzem i zastępcą cesarza był gubernator br. Hauer.



Ryc. 16. Medaliony z łańcucha rektorskiego i dziekańskiego z r. 1817.

Uroczystość odbyła się w starym gmachu potrynitarским w tej samej sali bibliotecznej, przerobionej z kościoła, w asystencji wojska, milicyi miejskiej, cechów, dygnitarzy rządowych, duchowieństwa, wydziału Stanów i t. d.

Pierwszy przemawiał rektor, potem zabrał głos gubernator br. Hauer, poczem sekretarz rządowy Kratter odczytał dyplom fundacyjny, wręczony następnie razem z kluczami i insygniami każdego wydziału rektorowi. Wykład inauguracyjny o znaczeniu uniwersytetów w społeczeństwie i w nauce wygłosił profesor klasycznej literatury i estetyki Ignacy Pollak.

Następnie wśród szpalerów wojska, milicyi i cechów ruszył orszak w ściśle przepisany porządku do kościoła jezuickiego na dziękczynne nabożeństwo, które odprawił proboszcz katedralny ks. Hoffman. Pochód otwierała kompania grenadyerów, za którą postępował magistrat i czterej akademicy z insygniami fakultetów. Dalej profesorowie, syndyk z dyplomem, dwaj akademicy z kłaczami i pieczęciami, dziekani, dyrektorowie nauk, rektor, gubernator,



Ryc. 17. Józef Maus, profesor Uniwersytetu lwowskiego.

radcy gubernialni, duchowieństwo, wydział Stanów, szlachta i różne dykasterye.

Po skończonem nabożeństwie odbył się u gubernatora obiad.

Pierwsze lata odnowionego Uniwersytetu płynęły wśród wielkich nadziei, jakie żywiło społeczeństwo wobec zwolnionego nieco ucisku narodowego i szerszego zajęcia się przez władze rządowe zaniedbanym krajem. Najbardziej zasłużeni i najświatlejsi ludzie ówczesnego pokolenia, jak Józef Maksymilian Ossoliński, Józef Dzierkowski i inni in-

teresowali się żywo uniwersytetem, tworząc bardzo pożądaną łącznik między światem profesorskim, z różnych stron monarchii austriackiej przybyłym, a społeczeństwem. Nie brak też było i wśród profesorów ludzi tegich, ożywionych najlepszymi chęciami dla kraju i młodzieży, jak Karol Hütter, wychowanek Ossolińskiego, sympatyczny i niezmiernie w kołach młodzieży popularny profesor historii powszechnej Józef Maus, August Kunzek, profesor



Ryc. 18. August Kunzek, profesor Uniwersytetu lwowskiego.

fizyki, Edward Tomaschek, Józef Winiwarter, prawnik, Leopold Schulz von Straschnitzky, słynny matematyk i wielu, wielu innych. Byli między nimi ludzie wielkiej nauki, dla których Lwów i jego Uniwersytet były tylko szczeblem do dalszej świetnej kariery, byli znakomici nieraz pedagogowie, a także i sumienni nauczyciele, traktujący swój zawód sucho i biurokratycznie — a przesunęło się ich tyle, że nie sposób wymienić wszystkich i wyznaczyć każdemu odpowiednie do jego zasług stanowisko.

Najbardziej jednak popularnym ze wszystkich, czczonym i uwielbianym przez młodzież był profesor filozofii, a później dyrektor biblioteki uniwersyteckiej Franciszek Stroński. „Jako człowiek i przyjaciel, szlachetny, wielkoduszny, pewny i uczynny, był niejako uosobioną *humanitas*. Dla uczniów był prawdziwym ojcem, w kolegium profesorskiem, złożonem przeważnie z Niemców, zażywał wysokiej czci. Antoni Małcki nazywa go „rozumnym i za-

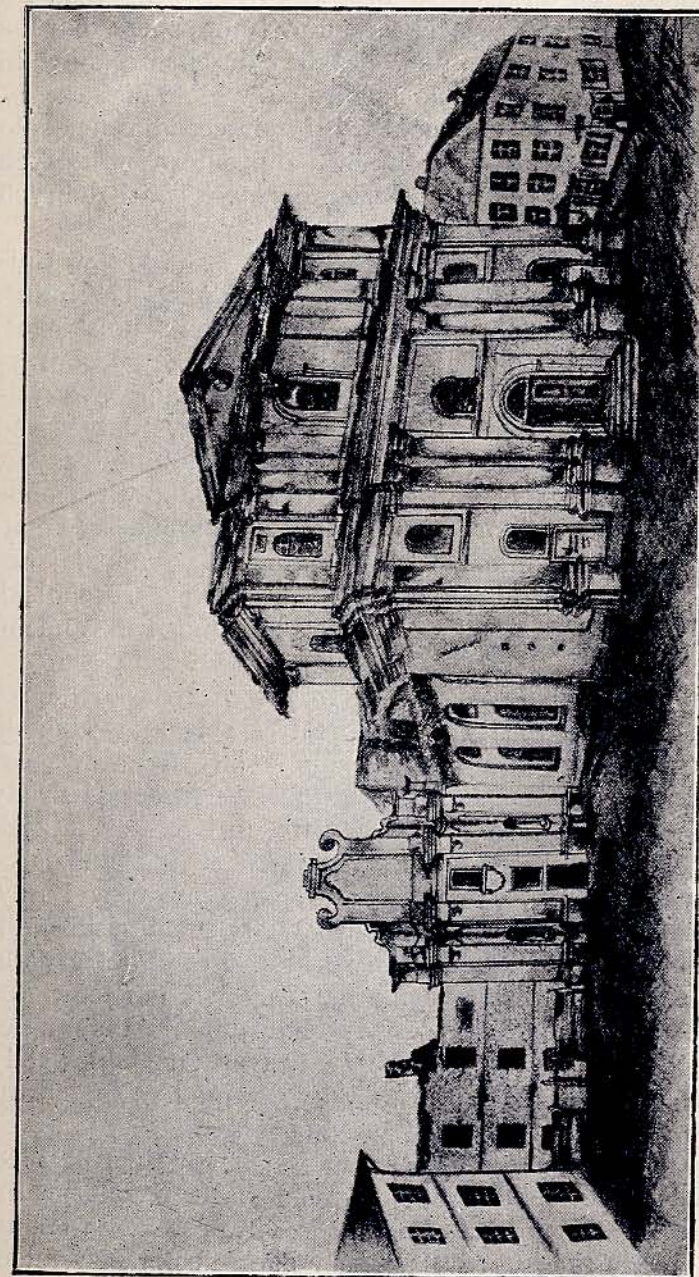


Ryc. 19. Franciszek Stroński, profesor, później bibliotekarz Uniw. lw.
(Ze zbiorów Archiwum m.).

cnym, zarazem patriotą ostrożnym, który przewijał się wśród trudnych stosunków“. Jako Polak, otoczony zewsząd podejrzliwością, doznawał wielu przykrości, co go wreszcie zniechęciło do tego stopnia, że w r. 1836 ustąpił z katedry, otrzymawszy posadę dyrektora biblioteki uniwersyteckiej.

Były to już czasy wszechwładnego systemu germanizacyjnego,

wprowadzenia niemieckich wykładów, cenzury ścisłej i bezdusznej wobec wszystkich objawów ruchu naukowego i literackiego. Profesor języka i literatury polskiej Mikołaj Michalewicz, mimo najlepszych chęci, nie zdołał zapewnić swojej katedrze większego wpływu na umysły młodzieży, a tak samo i profesor prawa polskiego Dobrzański. Zresztą młodzież duchem była gdzieindziej, w obozie walki o wolność i niepodległość Polski. W czasie powstania listopadowego opróżniły się ławy szkolne. Młodzież pospieszyła tłumnie na pole walki orężnej, i to nie sama tylko mło-



Ryc. 20. Uniwersytet lwowski po spaleniu w r. 1848.
Front biblioteki i gmachu uniwersyteckiego od strony ulicy Krakowskiej.
(Z rysunku współczesnego ze zbiorów Archiwum m.).

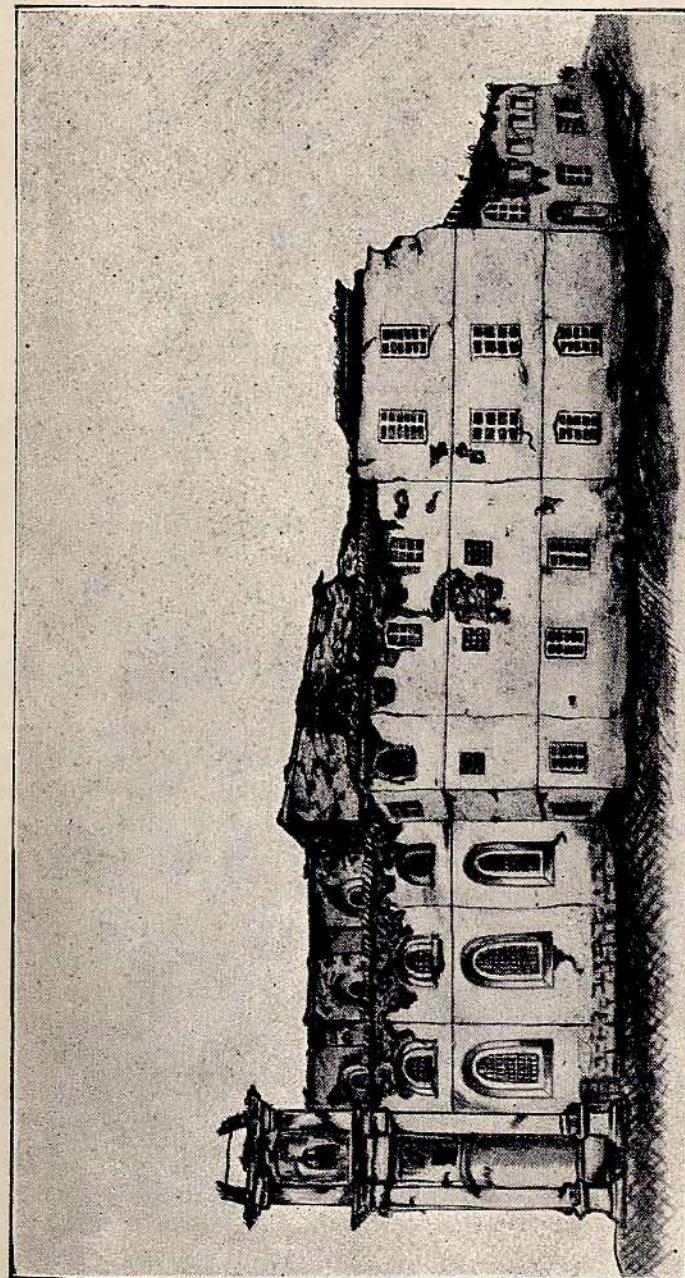
dzień polska, ale i synowie urzędników niemieckich. Po upadku powstania, z objęciem rządów Galicyi przez barona Kriega „nastaly czasy smutne, ciężkie i duszne zapanowało powietrze, jak zmora zawisło nad krajem widmo nieszczęść... Życie było wprawdzie ruchliwe i gorące, ale uciekało w kryjówki spisków, konspiracyi i zamachów, w których złamało się i zmarniało tyle talentów, tyle chęci dobrych i serc żywo bijących — na zawsze...”

Epoka konspiracyjna rozpoczęła się na dobre w Uniwersytecie lwowskim od r. 1833. „Związek przyjaciół ludu“, „Węglarstwo polskie“, „Stowarzyszenie ludu polskiego“, „Konfederacya ludu polskiego“, „Młoda Sarmacya“, „Sprzysiężenie demokratów polskich“, „Wolni Haliczanie“, wszystkie związki tajne, które krzewiły się w kraju, miały wśród młodzieży uniwersyteckiej, nie wyłączając alumnów rzymskiego i greckiego obrządku, licznych członków i osobne komitety, w skład których wchodziła najzdolniejsza i najwybitniejsza część młodzieży. Znajdujemy wśród niej nazwiska takie, jak Franciszek Smolka, Kazimierz Grocholski, Ferdynand Runge, Albin Dunajewski, Karol Szajnocha i wielu innych.

Policya wpadała powoli na trop tych związków, a rewizye, śledztwa, więzienia powtarzały się ciągle; wydalenia z uniwersytetu po kilkunastu uczniów stały się strawą codzienną. „I chociaż — pisze prof. Finkel — rzeczy te działy się wszystkie w uniwersytecie, w salach i na korytarzach szkolnych, a dopiero epilog ich rozgrywał się gdzieindziej — wychowawcy i profesorowie, jakoby zamknęli uszy i oczy, nic nie widzieli i bojaźnią przejęci w własnem zaskorupili się kole. W życiu społeczeństwa brali tylko tyle udziału, ile ich urząd koniecznie wymagał. Zaledwie ten i ów dopomagał, jak Tomaszek, w pracy około podniesienia materialnego bytu Galicyi, ku czemu w tych latach powstały niektóre instytucye, jak Towarzystwo gospodarskie, Towarzystwo kredytowe i Kasa oszczędności“.

W takim stanie zastał Uniwersytet lwowski rok 1848.

Wśród haseł, które rozbrzmiały nagle z „wiosną ludów“, najpierwsze miała miejsce wolność uczenia i nauczania. W jej imię upadał w gruzy stary austriacki system wychowawczy, a kiełkować poczynano życie nowe, bujne,



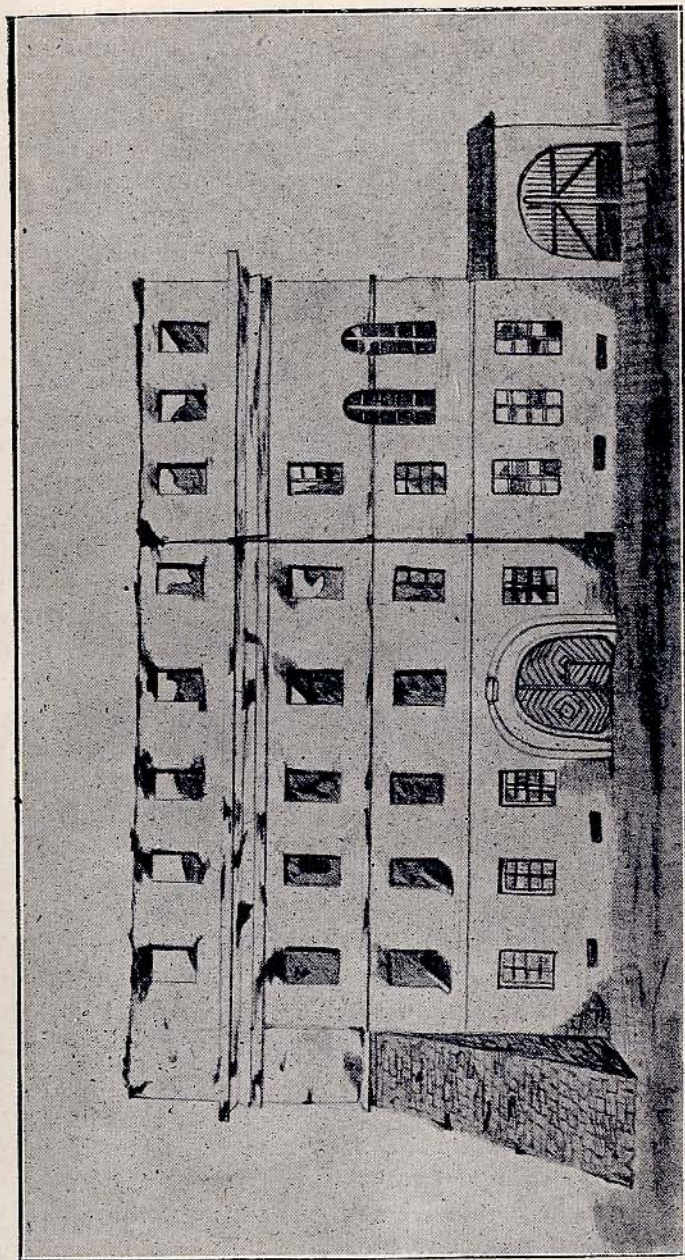
Ryc. 21. Uniwersytet lwowski po spaleniu w r. 1848.
Bok biblioteki i gnańchu uniwersyteckiego od strony ulicy Skarbłowskiej.
(Według rysunku współczesnego ze zbiorów Archiwum m.).

pełne nadziei wolności i wielkich ideałów braterstwa ludów. W słońcu swobody stanęła nagle Wszechnica lwowska, a w jej murach zawrzało, szcęk broni się odezwał i długo tłumione odżyły narodowe ideały. Profesor Stroński stanął na czele młodzieży, z nią razem szedł podpisywać adres do cesarza, znany, słynny adres, którego pierwszy punkt żądał „zaprowadzenia polskiego języka w szkołach, sądach i urzędach publicznych” — Stroński był też jednym z tych, którzy ten adres ponieśli do gubernium.

W dwa dni potem, 21. marca 1848, zjawił się w murach uniwersyteckich sam gubernator Stadyon, rozdając broń studentom, jako narodowym gwardzistom. W jednej chwili stanęła pod bronią „Legia akademicka“, złożona z 6 kompanii po 180 ludzi, jako część ogólnej gwardii narodowej, a jej hasłem i przekonaniem w tych pierwszych, złotych, nigdy niezapomnianych dniach swobód konstytucyjnych był „porządek, spokój i zgoda“ i było usilne pragnienie uczenia się po polsku.

Pragnienie tu spełniało się z wielkim pospiechem. Dnia 6. kwietnia otrzymał Uniwersytet pełną autonomię, kollegia profesorskie poszczególnych fakultetów miały decydować o wszystkim za aprobatą ministerstwa oświaty, a już 22. kwietnia nadesłał gubernator Stadyon pismo, pozwalające docentom do tego uzdolnionym wykładać po polsku. Natychmiast zgłosił się adjunkt Albin Ruebenbauer z chęcią wykładania po polsku historii ekonomii politycznej, senat zgodził się na to bez zwłoki i już 6. maja zabrzmiął, na krótko niestety, pierwszy polski wykład na wydziale prawniczym. Stare grono profesorskie pod wrażeniem wypadków, których ani nie rozumiało, ani nałamać się do nowego porządku rzeczy nie potrafiło, rozlatywało się na wszystkie strony, tak, że musiano przyspieszyć termin feryi letnich, które rozpoczęto 16. czerwca. Uniwersytetowi świeża była pełna nadzieja, że się odrodzi na nowo, w duchu narodowym polskim, tem bardziej, że dnia 29. września 1848 wyszło rozporządzenie ministerstwa oświaty, że na uniwersytecie i technice, a także w gimnazyach mają wykłady polskie rozpocząć się jak najprędzej.

Tymczasem jednak znane powszechnie wypadki inną poszły drogą, a nad Uniwersytetem miasto świtu jutrzeńki



Ryc. 22. Uniwersytet lwowski po spaleniu w r. 1848.
Bok gmachu uniwersyteckiego od strony ulicy Ormiańskiej.
(Z rysunku współczesnego ze zbiorów Archiwum m.).

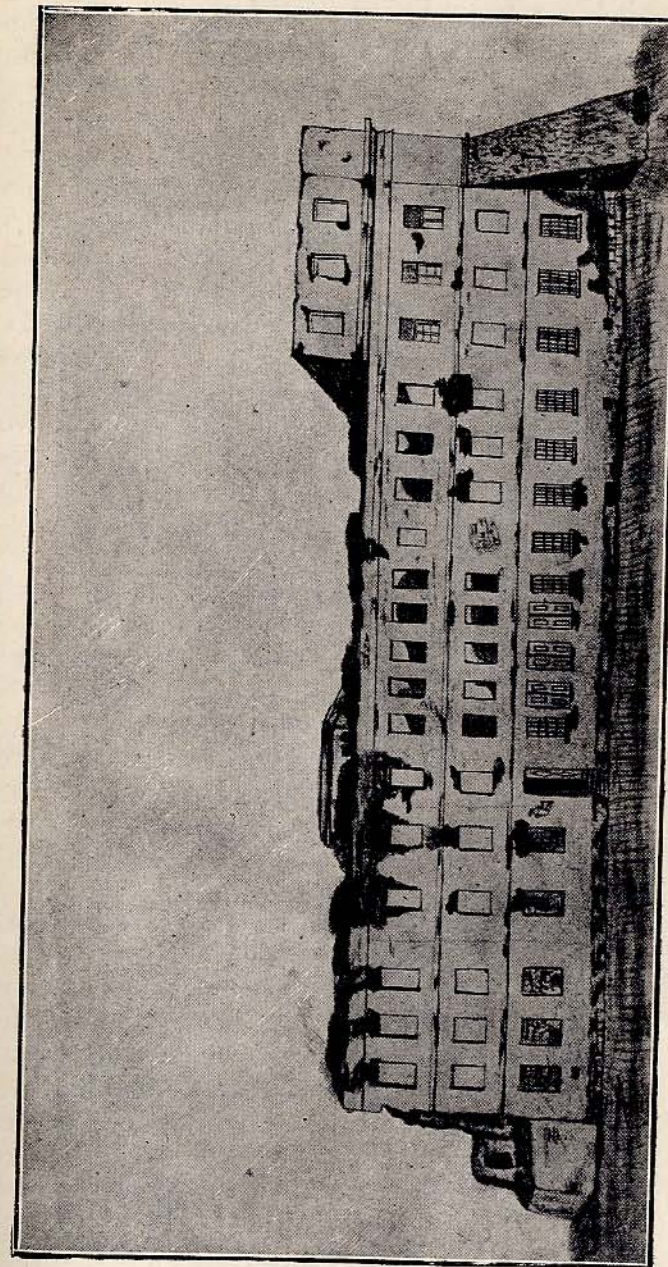
rozgorzała łuna pożaru. Armaty generała Hammersteina, obwieszczające „jesień reakcyi“, skierowane zostały głównie i przede wszystkim na Uniwersytet, który uważano za naczelną siedzibę ruchu rewolucyjnego. Pamiętnej nocy z 1. na 2. listopada 1848 legia akademicka stała pod bronią wzdłuż ulicy Krakowskiej i na barykadach, a rankiem 2. listopada od rakiet ognistych stanęła w płomieniach Akademii, razem z biblioteką i cennymi zbiorami.

Zachowało się wiele opisów i wspomnień tej strasznej w dziejach lwowskiego Uniwersytetu katastrofy. Wszystkie zgadzają się w tem, że pożar szalał z największą siłą od strony placu Krakowskiego, a więc tam, gdzie była pomieszczona biblioteka i kancelarya uniwersytecka. Rozszalałe płomienie, tumany dymu gryzącego, niesione wiatrem żagwie i iskry, uniemożliwiały wszelki ratunek, a zresztą i ratować nie było komu wobec padających bomb i rac kongrewskich.

W takiej chwili jeden tylko bibliotekarz Stroński i jeden tylko kancelista uniwersytecki Stefan Koźma stali na swoim stanowisku. Profesor Stroński zostawił na pastwę płomieni własne mieszkanie, w tem mieszkaniu manuskrypt i wszystkie notatki do przygotowywanego przez długie lata dzieła, a sam ratował bibliotekę, wyrzucał przez okna książki, manuskrypty, akta, dyplomy. Padły one na ulicę, gdzie dosięgały płonące żagwie, a gawiedź miejska rozchwytywała je, jakby swoje. Z księżnicy liczącej 51.082 tomów, ocalało wszystkiego 13.000, przepadły insygnia uniwersyteckie, pieczęcie; dyplomy uniwersyteckie znaleziono dopiero później na ulicy.

Budynek uniwersytecki był zupełnie zniszczony, tem bardziej, gdy nadwreżone mury upadły dnia 20. listopada. Ze świątyni nauki pozostała tylko kupa gruzów i sterczące gdzieniegdzie, dymem okopcone mury.

Dla braku pomieszczenia, a częściowo także dla „uspokojenia umysłów“, przerwano wykłady na jedno półrocze, a potem aż do stycznia 1850. Wówczas wynajęto 27 sal na trzecim piętrze ratusza lwowskiego, gdzie mieścić się musiała także szkoła realna i technika. Uniwersytetowi przypadło z tego 13 pokoi, w których znalazła pomieszczenie kancelarya, cztery sale prawne, dwie filozoficzne, gabinet



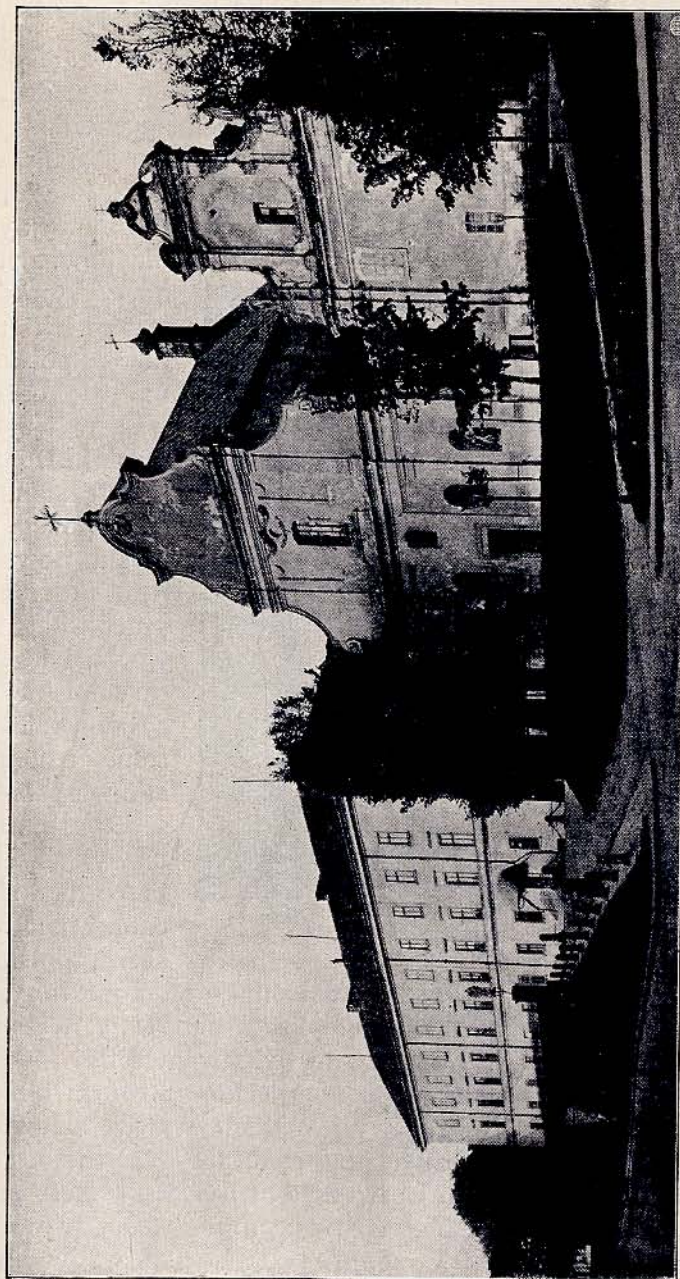
Ryc. 23. Uniwersytet lwowski po spalaniu w r. 1848.
Tylna część gmachu uniwersyteckiego od ulicy Teatralnej.
(Z rysunku współczesnego ze zbiorów Archiwum m.)

fizyki i rolnictwa, oraz gabinet historyi naturalnej. Pomieszczenie było nad wyraz szczupłe, tak, że należało czem prędzej szukać nowego lokalu. Hr. Agenor Gołuchowski przeznaczył na ten cel gmach obok kościoła św. Mikołaja, należący do fundacji Głowińskiego, który zajmował konwikt jezuicki, a później używała go wojskowość na koszary. Po długich pertraktacjach z władzą wojskową oddano ostatecznie dnia 2. stycznia 1851 gmach władzom uniwersyteckim, a po dokonaniu najpotrzebniejszych przeróbek wprowadził się doń w lecie r. 1851 Uniwersytet i zajmuje go w tym samym prawie stanie aż po dzień dzisiejszy.

Na nowem pomieszczeniu przyszło Uniwersytetowi lwowskiemu przeżyć jeszcze jeden okres ciężki prób, doświadczeń i reakcyi niemieckiej, przyszło mu się na nowo aż do samych podstaw zreorganizować, a potem okres walki i usilnych zabiegów całego społeczeństwa, celem spolszczenia najwyższej uczelni i wreszcie ostateczne zwycięstwo polskiej idei narodowej i polskiej nauki.

Na mocy ustawy o organizacyi władz akademickich z 27. września 1849, zarysu ogólnego nauki prawa, medycyny, filozofii z 11. października tegoż roku i całego szeregu pomniejszych rozporządzeń studia akademickie przybrały formy, które do dzisiejszego dnia obowiązują, zasadnicza zaś różnica między nowymi a dawnymi stosunkami polega na tem, że na czele nauki stanęły kollegia profesorskie z dziekanem na czele, słuchacze zaś z uczniów, podległych ścisłej dyscyplinie szkolnej, stali się obywatelami akademickimi.

Dziesięciolecie 1851—1860 było, jak już wyżej wspomnieliśmy, okresem prób i doświadczeń. W całym Uniwersytecie zaprowadzono język niemiecki jako wykładowy, a równocześnie rząd austriacki pod hasłem *divide et impera* począł przyznawać Rusinom uprzywilejowane stanowisko, przyrzekając już 4. grudnia 1848, że dopuści stopniowo język ruski na Uniwersytecie w miarę jego rozwoju. Jakoż istotnie kreowano w r. 1849 katedrę języka i literatury ruskiej, dopuszczono kilka ruskich wykładów na wydziale teologicznym, a także i na wydziale prawniczym utworzył rząd dwie katedry z językiem wykładowym ruskim, jedną dla prawa cywilnego, drugą dla prawa karnego.



Ryc. 24. Uniwersytet lwowski.

Dla Polaków natomiast, którym pozostały jedynie wykłady kilku przedmiotów na wydziale teologicznym w języku polskim, równoległe z ruskim, wielką było zdobyczą obsadzenie katedry języka i literatury polskiej. Katedrę tę otrzymał 22. sierpnia 1856 Antoni Małecki, a chwila, gdy mąż ten stanął na Uniwersytecie lwowskim, stała się epokową, rzecz można, dla polskiej nauki, oraz i jutrzienką skromną na razie, bo nawet w dekreście nominacyjnym



Ryc. 25. Prof. Antoni Małecki.

nie powiedziano, czy wykład języka i literatury polskiej ma się odbywać w języku polskim. Dopiero siłą samego faktu potęgą umysłu nowego profesora i jego pracą katedra języka i literatury polskiej uzyskała należne sobie uznanie. Młodzież spieszyła tłumnie na wykłady Małeckiego, słuchając chciwie słowa polskie-

go, które jak rosa ożywcza padało na spragnione umysły.

Zresztą na całym Uniwersytecie panowała wszechwładnie niemczyzna. Wszystko tu było w owe dni — powiada profesor Małecki — po niemiecku. Stroński bibliotekarz, dawniej profesor, siwy już ale wytrawny człowiek, Polak, ale Polak ostrożny, przewijał się wśród tych stosunków jak mógł... Stan Uniwersytetu był niski. Mało znaczył w opinii i w społeczeństwie, mimo tego, że wśród niemieckich profesorów znajdowali się ludzie wybitni, wielkiej pracy i zasług naukowych, jak Edward Herbst,

wybitny prawnik, Fryderyk Rulf, zdolny i gładki człowiek, Ferdynand Bischoff, germanista, a przede wszystkim Ludwik Zeissberg, historyk wielkiej miary, głęboki znawca historii polskiej i płodny autor na jej niwie, pracujący dla społeczeństwa pod pięknym i szczytnym hasłem... *ne panem polonicum frustra manducarem*: ażebym chleba polskiego nie jadł za darmo.

Ale jednostki nie były w stanie dźwignąć instytucji, która już żadnej racji bytu ani warunków nie posiadała w nowych stosun-

kach. To też kiedy nadeszły czasy konstytucyjne, wybrano z Krakowa czterech profesorów do Sejmu, ze Lwowa zaś ani jeden nie poszedł. „Żałowałem i wstydzilem się, — powiada Małecki — że się dostał do takiego instytutu. Rektor, który jako wirylista należał do Sejmu, nic nie znaczył, bo nie rozumiał po polsku“.

Ale równocześnie z nastaniem ery konstytucyjnej rozpoczęła się walka o polski charakter Uniwersytetu lwowskiego, walka twarda i nieustępliwa, prowadzona krok za krokiem przez nielicznych na razie profesorów polskich, przez Sejm, prasę, namiestnika hr. Gołuchowskiego, przez całe wreszcie społeczeństwo. Stworzenie ruskich katedr na wydziale prawnym dało bezpośredni impuls do starania się o uzyskanie tych samych przynajmniej praw dla języka polskiego. Od roku 1867, kiedy na jednej z dwu katedr prawa rzymskiego zaprowa-



Ryc. 26. Prof. Xawery Liske.

dzono polski język wykładowy, liczba wykładów polskich poczęła się pomnażać stale, tak, że przed ostatecznym unormowaniem języka wykładowego w r. 1870 odbywało się w Uniwersytecie lwowskim 46 wykładów po niemiecku, 13 po łacinie, 13 po polsku, a 7 po rusku. W roku 1874 było już wykładów polskich 59, ruskich 8, łacińskich 13, niemieckich 11, w roku 1906 zaś wykładów polskich 185, ruskich 19, łacińskich 14, niemieckich 5.

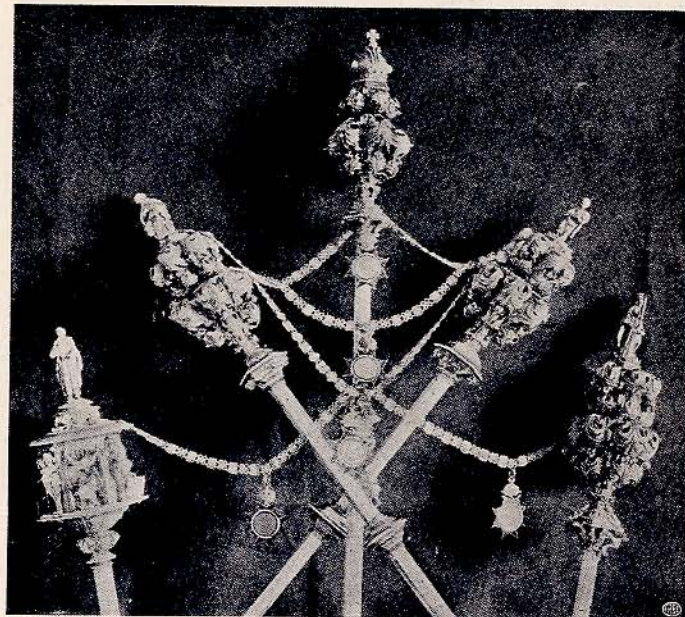


Ryc. 27. Prof. Izidor Szaraniewicz.

Postanowieniem cesarskim z 4. lipca 1871 usunięto wogóle wszystkie ograniczenia, które dotąd stały na przeszkodzie wygłaszaniu wykładów polskich i ruskich na wydziale prawa i umiejętności państwowych, oraz na wydziale filozoficznym. W ten sposób usunięty został stanowczo język niemiecki, a wprowadzono zasadę wolnego wyboru języka wykładowego, która siłą faktycznych stosunków doprowadziła w krótkim czasie do spolszczenia Uniwersytetu lwowskiego.

Podstawą tego faktycznego stanu rzeczy były głównie usiłowania profesorów, a przede wszystkim Józefa Zielenackiego, którego zasługi około wprowadzenia języka polskiego do wykładów uniwersyteckich są niespożyte. Obok niego ze starszej generacji profesorów zasłużyli się profesorowie Fangor i Lipiński, z młodszej zaś dzielnymi pionierami idei narodowej byli dr. Kabat, dr. Ferdynand Źródłowski, dr. Feliks Gryziecki, Leonard Piętak, Leon Biliński, dr. Xawery Liske i cały szereg innych, których zasługi trudno w krótkim zarysie przedsta-

wić, a których imiona zapisane są w dziejach *Almae Matris* lwowskiej złotymi głoskami. Wsparci współdziałaniem Sejmiku, namiestnika i całego społeczeństwa, zdobywali oni krok za krokiem każdą katedrę z osobna, a raz otrzymane, potrafili wznieść na wysoki poziom naukowy, postawić je nie tylko na równi z ustępującymi z pola katedrami niemieckimi, ale pracować na nich z pożytkiem dla narodu i kształcić nowe pokolenia mężów uczonych, którzy nie-



Ryc. 28. Insignia pełnego Uniwersytetu lwowskiego o czterech wydziałach.

bawem zajęli wszystkie posterunki naukowe, zapewniając Uniwersytetowi nie tylko polski charakter, ale dobre imię w całym świecie naukowym.

Cały szereg aktów prawnych, rozporządzeń cesarskich i ministeryalnych stwierdził i zapewnił polski charakter lwowskiej Wszechnicy tak pod względem języka wykładowego, jak i urzędowego, nie ukrócając w niczem wolności uczenia, nauczania, badania naukowego i pracy ruskiego narodu, który na katedrach Uniwersytetu lwowskiego znalazł

takich swoich przedstawicieli, jak Emilian Ogonowski, Izidor Szaraniewicz i inni.

W roku 1894 nastąpiło otwarcie wydziału medycznego, pod auspicjami cesarza Franciszka Józefa I., który dzieło poprzedników swoich w ten sposób uzupełnił i stanął w rzędzie fundatorów Uniwersytetu lwowskiego.

Dzieje ostatnich lat jednak nie należą już do zakresu niniejszego wspomnienia jubileuszowego. Wiadome są one wszystkim, patrzy na nie współczesne pokolenie, a sąd wyda przyszły historyk.



66539